

UNIwersYTET W BIAŁYMSTOKU HISTORIA

TYLKO HISTORIA MOŻE NAM POWIEDZIEĆ, CZYM JEST CZŁOWIEK
Wilhelm Dilthey

PO MATURZE

STUDIA LICENCJACKIE STACJONARNE I NIESTACJONARNE

Specjalizacje w ramach studiów:

- Archiwistyczna
- Ochrona i promocja dziedzictwa kulturowego
- Nauczycielska (organizowana przy współpracy z Centrum Edukacji Nauczycielskiej UwB)

PO LICENCJACIE

STUDIA MAGISTERSKIE UZUPEŁNIAJĄCE

Specjalizacje w ramach studiów:

- Historia Europy Środkowo-Wschodniej
- Ochrona i promocja dziedzictwa kulturowego
 - Wojskowa
 - Wiedza o dawnej książce
 - Współczesna

PO MAGISTERIUM

- PODYPLOMOWE STUDIUM HISTORII
- PODYPLOMOWE STUDIUM ARCHIWISTYCZNE
- PODYPLOMOWE STUDIUM OCHRONY I PROMOCJI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO



INSTYTUT
HISTORII



INFORMACJE O REKRUTACJI

INSTYTUT HISTORII

UNIwersYTETU W BIAŁYMSTOKU

Plac Uniwersytecki 1, 15-420 Białystok

tel./fax: 085-745-74-43, tel. 085-745-74-44

historia@uwb.edu.pl, www.historia.uwb.edu.pl

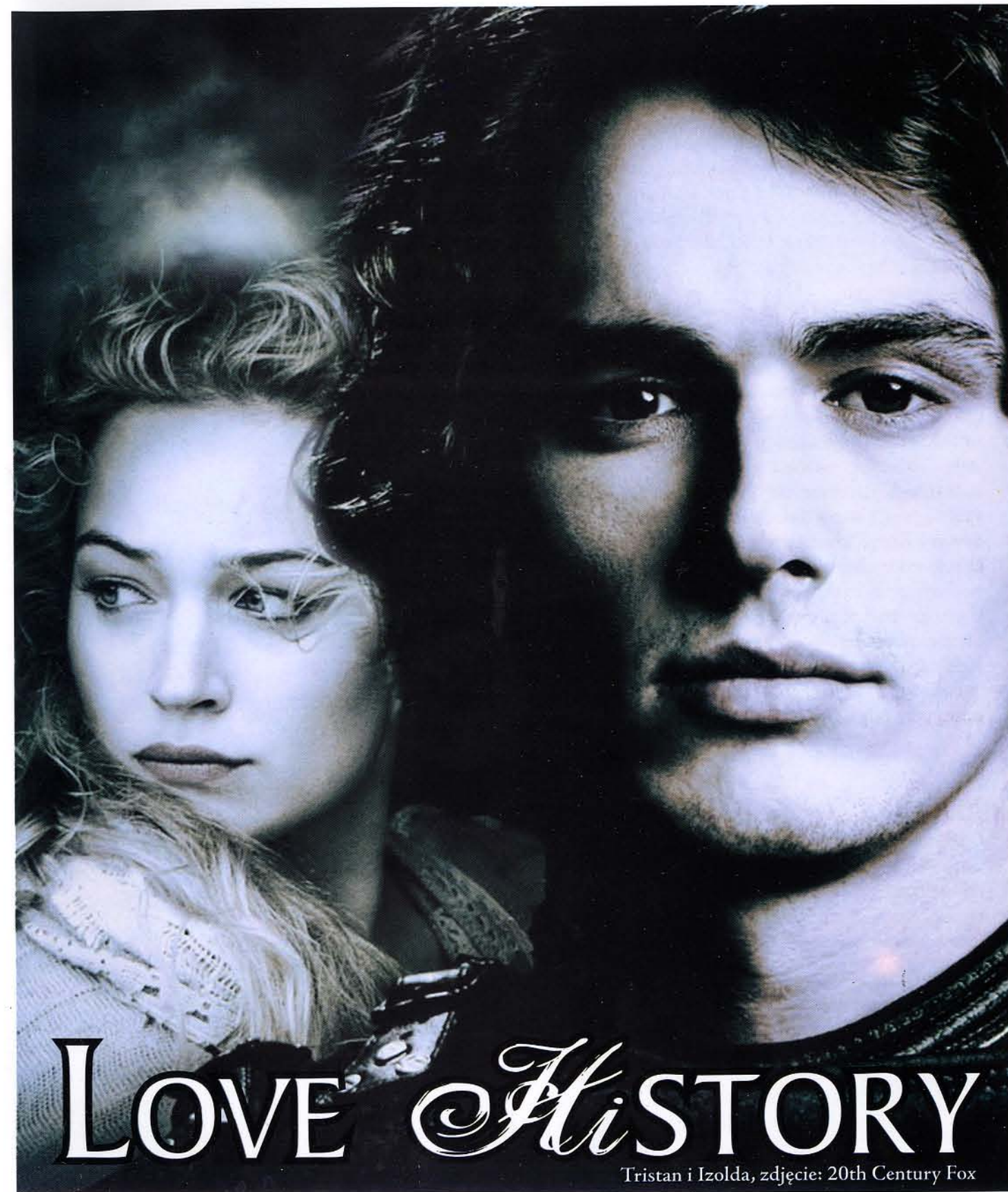
GRYFITA

Białostocki Magazyn Historyczny



numer 27/2007 ISSN 1231-3041 www.gryfita.pl

Wydawca: Instytut Historii UwB www.historia.uwb.edu.pl



LOVE & HISTORY

Tristan i Izolda, zdjęcie: 20th Century Fox

Szanowni Państwo

W poszukiwaniu motywów postępowania różnych postaci z przeszłości historycy niezbyt często poświęcali należytą uwagę życiu uczuciowemu swoich bohaterów.

W najnowszym numerze Białostockiego Magazynu Historycznego „Gryfita” staraliśmy się zwrócić Waszą uwagę na rolę miłości, jako czynnika determinującego zachowania ludzi w każdej kulturze i we wszystkich epokach. Dzięki temu artykuły w naturalny sposób przybrały konwencję mikrohistorii, próbujących wejść nie tylko w myśli, ale także i serca. Andreas Capellanus w traktacie z końca XII w. zdefiniował miłość jako wrodzone cierpienie wynikające z patrzenia i niekontrolowanego myślenia o przeciwnej płci, a następnie pokazał, że dotyka ona wszystkich bez względu na wiek, płeć, wykształcenie i pochodzenie społeczne.

Zaproponowane przez nas teksty dotyczą więc polityków, wojskowych, duchownych, filozofów, urzędników i artystów, których uczucia wyrażane były na różne sposoby. Czasem miłość zamykano w kształcie liter czy zwrotkach poezji, często zaś realizowano w bliskości fizycznej, bo jak zauważył James Burge, autor monografii o Abelardzie i Heloizie: Nawet u największych intelektualistów świadomości nie da się oddzielić od ciała. Źródła historyczne rzadko mówią o szczęśliwych kochankach, nieco częściej wspominają o uczuciu niespełnionym, z reguły jednak dotyczą wydarzeń spowodowanych zupełnym brakiem miłości. Wojny sprawiały, że seks oddzielano od miłości i najbardziej eleganckie, według Tomasz Jastruna, wyrażenie ze słownika erotycznego - kochać się, stało się dziś bardzo mylące. Ale błędne, prześiąknięte stereotypami, bywa także nasze spojrzenie na życie intymne młodych ludzi u progu XXI w. Badanie ich zwyczajów i poglądów jest równie pociągającą przygodą jak zgłębianie przeszłości.

Piotr Guzowski

Redakcja:

Krzysztof Boroda, Piotr Chomik, Alina Czapiuk, Piotr Guzowski (sekretarz redakcji), Maciej Karczewski, Robert Kempa, Iwona Kulesza-Woroniczka, Marzena Liedke, Tomasz Mojsik, Łukasz Niewiński, Robert Suski, Wojciech Śleszyński, Tomasz Wesołowski

Wydawca:

Instytut Historii Uniwersytetu w Białymstoku
Pl. Uniwersytecki 1, 15-420 Białystok
www.historia.uwb.edu.pl

ISSN 1231-3041

W numerze:

- | | |
|---|----|
| Harmodios i Aristogeiton
- homoseksualna love story
u początków demokracji ateńskiej?
TOMASZ MOJSIK | 3 |
| Tristan i Izolda
- romans w Wiekach Ciemnych
PAWEŁ SZAREJKO | 7 |
| Listy miłosne Abelarda i Heloizy
PIOTR GUZOWSKI | 11 |
| Trzy głosy o autorze 95 tez
- na marginesie filmu „Luther”
KAMIL ROSZKIEWICZ, MONIKA SZPAKOWSKA,
PAWEŁ SZAREJKO | 15 |
| Halszka z Ostroga
- bez szansy na miłość?
MARZENA LIEDKE | 20 |
| Samuela Pepysa skoki w bok,
czyli o miłości małżeńskiej na próbę wystawionej
DOROTA GUZOWSKA | 26 |
| Pamela i tryumf cnoty?
RADOSŁAW PONIAT | 32 |
| Seks bez miłości i wojna (secesyjna)
ŁUKASZ NIEWIŃSKI | 35 |
| Włodzimierz i Marina,
czyli romans rosyjsko-francuski
ALINA CZAPIUK | 41 |
| Życie seksualne
studentów Instytutu Historii
Uniwersytetu w Białymstoku
MARTYNA BIELSKA | 45 |



U początków demokracji ateńskiej znajdują się dwie opowieści o uwolnieniu miasta spod tyranii Pizystratydów (czyli synów Pizystrata) i wprowadzeniu isonomii - równości praw, czy też równości wobec prawa - jako zasady istotnej dla powstania ustroju demokratycznego. Jedną z tych opowieści zakładała, że do uwolnienia miasta i ostatecznego obalenia tyranii w 510 r. (wszystkie wymienione w artykule daty dotyczą okresu p.n.e.) przyczynili się Spartanie namówieni do tego przez wyrocznię delficką. Ta zaś z kolei została przekupiona w tym celu przez wygnany z Aten arystokratyczny ród Alkmeonidów.

Harmodios i Aristogeiton

Znacznie ciekawsza jest jednak druga wersja, wedle której ojcami demokracji mieli być Harmodios i Aristogeiton, dwaj arystokraci ateńscy, którzy w 514 r. mieli za-

wszechniona, że w kilkanaście lat po wydarzeniu obu bohaterom wystawiono posągi - dzieło Antenora - które jednak w r. 480 wywiózł do Persji Kserkses. Już w kilka lat po najeździe króla perskiego wystawiono im jednak kolejne posągi, tym razem autorstwa Kritiosa i Nesiotesa, na których umieszczono epigram przypisywany poecie Simonidesowi. Gest ten był, jak się zdaje, powiązany z wprowadzeniem jakiejś formy kultu obu tyranobójców, uznanych być może za herosów. Ich grób w dzielnicy ateńskiej Keramejkos był dość dobrze znany jeszcze w czasach Cesarstwa, czego dowodzi wzmianka w przewodniku po Grecji Pauzania. Być może przy tym grobie jeden z najwyższych urzędników ateńskich - archont polemarch - składał co roku ofiary. Z kolei potomkowie Harmodiosa mieli dostawać w V w. darmowe posiłki w prytanejonie - budynku

Harmodios i Aristogeiton

- homoseksualna love story u początków demokracji ateńskiej?

TOMASZ MOJSIK

mordować tyrana Hiparcha. Jeden z zamachowców zginął przy tym na miejscu, a drugi w czasie tortur. Wersja ta była na tyle rozpo-

Rady. Z tego kresu pochodzą także utwory sympozjonalne - zwane skoliami (gr. skolion: kręty, zapewne od tego, że pieśń szła po sali biesiadnej zygzakiem) - sławiące rolę obu bohaterów w zmianie ustroju. Jedną z nich tak opiewała ich czyn (frg. 893):

*W gałązkach mirtu miecz swój będę nosił,
Tak jak Harmodios i Aristogeiton,
Gdy kiedyś współ zabili tyrana
I równe prawa (isonomia) Ateńczykom dali.*

Pierwszy wers wyraźnie sugeruje skrytobójstwo, spisek i zamach, który kończy się obaleniem tyrana. Czyżby zatem historia demokracji zaczynała się krwawo, bo od zabójstwa? Jaki jednak ma to związek ze zmianą ustroju i co pchnęło Harmodiosa i Aristogeitona do morderstwa?

Dramatis personae

Gdy przyglądamy się bliżej relacjom autorów antycznych okazuje się, że wersja zachowana w pieśniach (por. także frg. 894-896) i sugerowana przez fakt wystawienia posągów, a także kult i zaszczyty dla potomków, jest tylko jedną z wielu i to raczej niezbyt dokładną. Już w Dziejach

Herodota (5.55) pojawia się wyraźna sugestia, że zabójstwo nie miało bezpośredniego wpływu na obalenie tyranii, bowiem starszy brat Hipparcha - Hippias - rządził jeszcze przez 4 lata bez jakichkolwiek skądinąd przeszkód. Herodot powiada wręcz, że Ateńczycy „byli potem jeszcze przez cztery lata nie mniej, owszem bardziej niż przedtem, gnębieni tyranią”. Z kolei w „Wojnie Peloponeskiej” Tukidydesa znajdujemy uśliśnienie wskazujące, że to Hippias, a nie Hipparch sprawował rzeczywistą władzę, co oznaczałoby, że nasi skrytobójcy zamordowali niewłaściwą osobę. Czy mogli zatem obalić tyranię? Źródła wyjaśniają to w ten sposób, że ich spisek zmierzał do zamordowania Hippiasa, tylko że - jak powiada Tukidydes (1.20) - „w owym dniu, gdy już mieli wykonać zamach, powzięli podejrzenie, że ktoś z wtajemniczonych uprzedził Hippiasa, i wstrzymali się od zamachu na niego”. Chcąc jednak dokonać czegoś wielkiego zanim spisek wyda się całkowicie i zostaną pochwyceni „zabili Hipparcha napotkawszy go w chwili, gdy przygotowywał procesję panatenańską koło świątyni zwanej Leokorion”.

Miejsce i czas

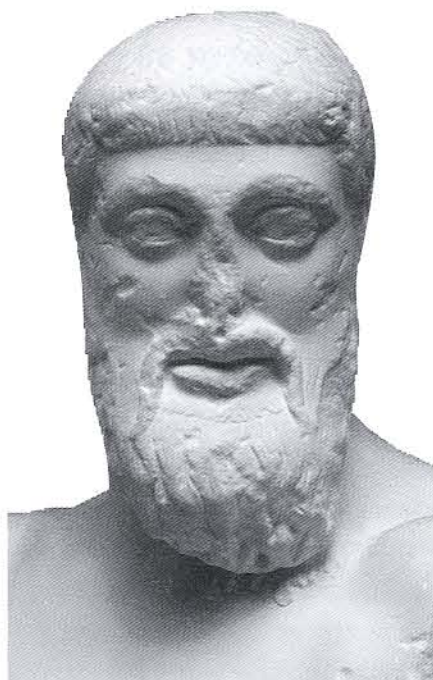
Rzecz miałaby zatem miejsce w czasie Panatenajów, jednego z najważniejszych świąt ateńskich poświęconych patronce miasta. Co roku odbywano tzw. Mniejsze Panatenaje, natomiast co 4 lata święto było powiązane z okazałymi zawodami, na których rapsodowie (zawodowi pieśniarze) recytowali

utwory epickie, w tym Homera. Jednym z jego istotnych elementów była także procesja obywateli, podkreślająca związek mieszkańców polis z ich boską opiekunką. Najważniejsze jednak było przygotowanie i nałożenie nowej szaty dla archaicznego drewnianego posągu bogini - Ateny Polias czyli „Opiekunki Miasta”. Moment to zatem wyraźnie kluczowy w cyklu religijnego życia Ateńczyków i przelanie krwi w czasie święta musiało być wyjątkowo groźne dla miasta z sakralnego punktu widzenia.

Powody zamachu

- miłość czy patriotyzm?

Najciekawsze są jednak podane przez Tukidydesa powody zamachu (6.54). Otóż „zamach dokonany przez Arystogeitona i Harmodiosa miał swój początek w sprawie miłosnej (erotike syntychia)”. Historyk wyjaśnia dalej - „Po śmierci Pizystrata, który umarł podeszłym wiekiem, tyra-



nię objął nie Hipparch, jak to się pospolicie sądzi, lecz najstarszy z braci, Hippias. Harmodios znajdował się wówczas w kwiecie lat i promieniał urodą. Arystogeiton, obywatel ateński ze średnich sfer, zapalał ku niemu miłością, która została odwzajemniona. Także Hipparch, syn Pizystrata, starał się uwieść Harmodiosa, który jednak nie uległ i oskarżył Hipparcha przed Arystogeitonem. Ten, powodowany zazdrością i lękając się, by Hipparch dzięki swej potędze nie odebrał mu kochanka, od razu postanawia wykorzystać swe wpływy i obalić tyranię”. Organizuje zatem grupę - Tukidydes wyraźnie wskazuje, że krąg spiskowców nie ograniczał się do kochanków - i planuje atak. Zanim do niego dochodzi Hipparch dodatkowo obraża Harmodiosa i jego rodzinę odmawiając siostrze przyszłego tyranobójcy zaszczytu niesienia koszyka (znana nam z ikonografii kanephora to właśnie dziewczyna niosąca kane - „kosz”) w czasie którejś z religijnych procesji. To miało jakoby dopełnić szali goryczy. Nadal jednak - wedle Tukidydesa - planowano zabójstwo Hippiasa i obalenie tyranii. Jednak gdy w dniu zamachu zauważono jednego ze spiskowców rozmawiającego ze starszym synem Pizystrata, Harmodios i Arystogeiton zmienili plany i postanowili zabić chociaż Hipparcha - „na nic nie zważając, obaj, jeden powodowany zazdrością, drugi poczuciem doznanej obelgi, w najwyższym podnieceniu go dopadają, zadają mu cios i zabijają (Tukidydes 6.57)”.

Tak dopełnił się akt... ale czego? Spisku przeciw tyranii czy zemsty wynikłej z zazdrości o kochanka? I kto miał być rzeczywistą ofiarą zamachu - Hippias jako tyran czy Hipparch jako odrzucony zalotnik i rywal w miłości? I jak się rzecz cała miała do opiewanego w pieśniach i sławionego posągami i w kulcie wprowadzenia demokracji?

Homoerotyzm

i biseksualność świata antycznego

Niewątpliwego smaku dodaje całej historii - przynajmniej ze współczesnego punktu widzenia - fakt wplątania w opowieść, określoną w tytule jako homo-seksualna „love story”, perypetii miłosnych trójki mężczyzn. Niewątpliwie także czymś takim jest ta historia. Przy czym obraz antyczny różni się nieco od potocznych współczesnych wyobrażeń o kontaktach homoseksualnych. Ba, jak pokazał jeden ze specjalistów zajmujących się seksualnością antyczną - David Halperin - być może nawet termin „homoseksualność”, który jest tworem XIX-wiecznym, jest tu nieadekwatny. Dla przeciętnego Greka owej epoki kontakt między dwójką osobników tej samej płci nie różnił się zbytnio od stosunków heteroseksualnych. Dodatkowo dla większości z nich kontakty z mężczyznami, czy chłopcami - paideraisteia - były równoważne i równoczesne z kontaktami heteroseksualnymi (żony, niewolnice, kochanki, konkubiny, hetery, prostytutki etc.). Zresztą, jak można wnioskować również z informacji o potomkach Harmodio-



sa, nasz bohater musiał posiadać małżonkę i potomstwo, co nie stało w sprzeczności z utrzymywaniem kontaktów homoerotycznych z Aristogeitonem. Wszystko to wynikało z uświadomionego w nauce dopiero niedawno faktu, że świat antyczny był w przeważającej mierze biseksualny. Nawet samo pojęcie płci (sexus) jako fizycznego wyznacznika podziału ról w kontaktach erotycznych jest dla Greków obce, a wyjątkowo rzadkie nawet w łacinie.

W wypadku rozmaitych wersji naszej opowieści zazwyczaj tak rozkłada się akcenty, aby wskazać, że Aristogeiton był starszym, aktywnym partnerem - erastes (od słowa eros) - a młodszy od niego Harmodios raczej tylko pasywnym obiektem uczuć - eromenos. Taki układ odwoływał się do sfery paideii i zwyczaju wprowadza-

nia młodych chłopców, zwłaszcza z rodzin arystokratycznych, w sferę dorosłości społecznej i politycznej. Zachowanie dorosłych mężczyzn w stosunku do dorastających chłopców było akceptowane, ale i zarazem kontrolowane społecznie. Erastes/kochanek musiał uzyskać zgodę rodziny i np. obdarować chłopca. Z kolei chłopiec nie mógł być w kontaktach partnerem aktywnym i nie powinien czerpać z nich przyjemności fizycznej. Na przykład na Krecie - bo tamtejsze zwyczaje są dla nas najpełniej poświadczane - chłopcy byli rytualnie porywani i wywożeni do wiejskich posiadłości przez swoich kochanków. Tam uczyli się polować, walczyć z bronią, ucztowali z przyjaciółmi, a po okresie miesiąca, dwóch, wracali do domu obdarowani przez erastesa wskazującym na ich doro-

słość i gotowość do obrony państwa uzbrojeniem hoplity.

Harmodios kalos

- urodziwy Harmodios?

Nierzadka była także z pewnością, zwłaszcza w większych społecznościach, rywalizacja o chłopca. Szczególnie jeśli był nieprzeciętnej urody. Z taką sytuacją mamy do czynienia, jak się zdaje, właśnie w wypadku Harmodiosa, o którym mówi nam Tukidydes, że „znajdował się wówczas w kwiecie lat i promieniał urodą”. Podobne elementy zauroczenia fizycznością chłopców widać czy to w rzeźbie greckiej, w ikonografii wazowej czy np. w dialogach platońskich (np. *Laches*). Jednocześnie jednak należy być ostrożnym ze wskazywaniem na młody wiek Harmodiosa, skoro wzmiankowane już informacje o jego potomstwie - a przypomnijmy, że zginął na miejscu w czasie zamachu - powinny sugerować, że osiągnął już wiek męski. Być może zatem mielibyśmy do czynienia nie z typową *paiderasteia* - kulturowo uwarunkowanym typem kontaktów między mężczyzną a dorastającym chłopcem - a z bardziej charakterystycznym dla naszych czasów stosunkiem homoseksualnym między dojrzałymi fizycznie i psychicznie partnerami. Taka antyczna i bardziej dramatyczna wersja „*Brokeback Mountain*”.

Miłość i polityka

Obecność i rola historii miłosnej jest w wypadku opisanych wydarzeń niewątpliwa. Niejasny jest co najwyżej jej udział w oba-



modiosa i Aristogeitona stały inne motywy niż chęć obalenia tyranii, to dla Greków V w. do przyjęcia było założenie, że u źródeł demokracji mogła stać zazdrość i rywalizacja o (męskiego) partnera. Mówiąc inaczej - opowieści niewiele nam mówią o samych wydarzeniach, ale całkiem sporo o mentalności rozpowszechniających je Greków.

Tomasz Mojsik
tmojsik@uwb.edu.pl

Literatura:

Źródła:

Herodot, *Dzieje*, tł. S. Hammer, Warszawa 1954;
Tukidydes, *Wojna peloponeska*, tł. J. Parandowski, Warszawa 1953;
Liryka starożytnej Grecji, opr. J. Danielewicz, Warszawa-Poznań 1996;

Opracowania:

Bravo B., Wipszycka E., *Historia starożytnych Greków*, t. 1 Warszawa 1988;
Lengauer W., *Eros, polis, obywatel*, „Konteksty” 58 (2004), 153-161;
Lengauer W., *Religijność starożytnych Greków*, Warszawa 1994;
Reinsberg C., *Obyczaje seksualne starożytnych Greków*, przeł. B. Wierzbicka, Gdynia 1998.

Źródło ilustracji:

<http://viamus.uni-goettingen.de/fr/pages/>

*Panowie miłośnicy, czy wola wasza
usłyszeć piękną opowieść o miłości i śmierci?
To rzecz o Tristanie i Izoldzie królowej.*

Takimi słowami rozpoczyna się opracowana przez Józefa Bédiera w 1900 r. nowofrancuska wersja legendy zakorzenionej we wczesnym średniowieczu. Już w latach siedemdziesiątych poprzedniego stulecia z planami ekranizacji tej niezwykle historii miłosnej nosił się, wówczas jeszcze początkujący, Ridley Scott. Traf chciał, że od swoich zamiarów odstąpił i skierował swe kroki w zupełnie przeciwny gatunek sztuki filmowej, tworząc jeden z najlepszych horrorów dekady *Obcy* - ósmy pasażer *Nostromo*. Po przeszło trzydziestu latach powrócił do projektu, ale już tylko w roli producenta wykonawczego, oddając reżyserię Kevinowi Reynoldsowi.

Film „*Tristan i Izolda*” powstał z pewnością na fali sukcesów kasowych „historycznych” produkcji jak: „*Gładiator*”, „*Królestwo Niebieskie*”, „*Troja*”, „*Król Artur*” czy „*Aleksander*”, nie powtórzył jednak ich sukcesu kasowego, chociaż wiele wskazywało, że ta będąca lekturą szkolną ekranizacja, przyciągnie do kin rzesze fanów spragnionych prastarej opowieści o kochankach.

Jak większość legend również dzieje Tristana i Izoldy owiane są mgłą tajemnicy, której nie sposób do końca rozwiązać. Jej pierwowzorem jest irlandzka opowieść o Gráinne i Diarmaicie, która, jak pisał Wojciech Lipoński, „przeszła potem do literatur europejskich nie

Tristan i Izolda

- romans w Wiekach Ciemnych

PAWEŁ SZAREJKO

z Irlandii, lecz za pośrednictwem Kornwalii i Bretanii”. Nieznacznie poprzedza ona lub jest równoczesna z bardziej rozpowszechnioną historią króla Artura i Rycerzy Okrągłego Stołu.

Akcja romansu irlandzkiej królowej Izoldy Jasnowłosej i Tristana Lończyka, wasala a zarazem siostrzeńca króla Kornwalii - Marka, rozgrywa się prawdopodobnie na przełomie V i VI wieku n.e. To bardzo burzliwy okres w dziejach Brytanii, wolnej od zwierzchnictwa Imperium Romanum. Oprócz dezintegracji władz centralnych i najazdów barbarzyńskich plemion Sasów, Anglów, Jutów i Fry-

zów, jedną z przyczyn podziałów i nieporozumień między Brytami był konflikt w ramach chrześcijaństwa, a w zasadzie między dwoma jego przeciwstawnymi nurtami, które pojawiły się w tym okresie: pelagiańskim i papieskim. Brak jedności politycznej Brytów zaczęli wykorzystywać również Iryjczycy, dokonując najazdów z sąsiedniej wyspy. Ze względu na skromny zasób źródeł pisanych do okresu tego przyłgnęło określenie: „dwóch straconych stuleci”, lub znacznie częściej po prostu: *Dark Ages*.

Ponieważ mieliśmy w wypadku filmu do czynienia z ekranizacją





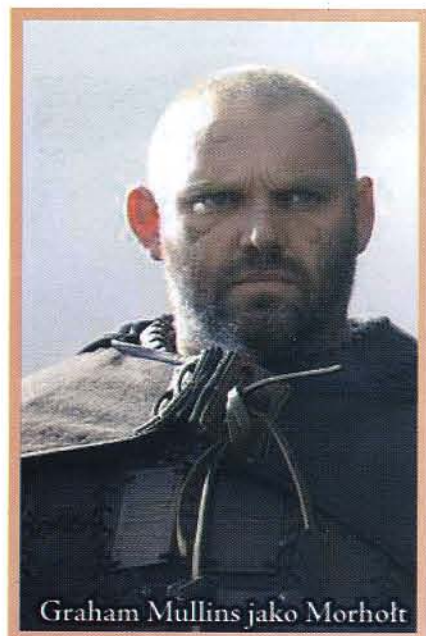
wydarzeń legendarnych, jedynie osadzonych w trudnych do szczegółowej analizy wiekach ciemnych, nie można było oczekiwać historycznej ścisłości. Trzeba przy tym zaznaczyć, że twórcy filmu wykazali wiele starań by zbliżyć się do realiów epoki w prezentacji elementów kultury materialnej. Wiernie potraktowano np. detale architektoniczne, w przeważającej części drewniane, gdyż rzymskie budownictwo z kamienia było ewenementem w willach poszczególnych lokalnych władców. Okazale wyglądają także kostiumy, chociaż w tym przypadku, z braku ikonografii nie jesteśmy

w stanie dokonać szczegółowej weryfikacji.

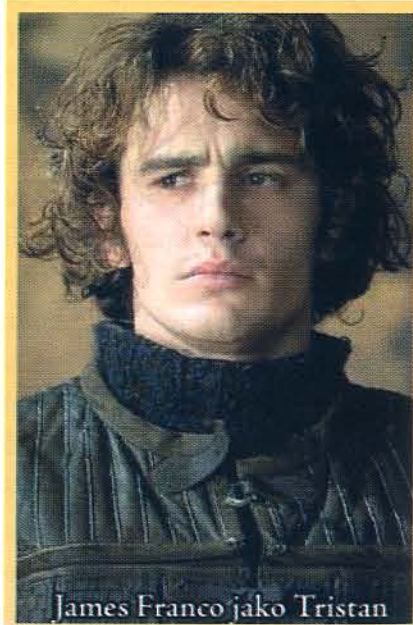
Jednak to co uderza w filmie to liczne nieścisłości w stosunku do samej legendy. Kevin Reynolds w jednym z wywiadów zapytany o owe różnice wyjaśniał: „Jest tyle wersji tej opowieści, że uznaliśmy, że i my możemy ją zmienić. Brytowie, Irlandczycy, mieszkańcy Kornwalii – oni wszyscy mieli przecież swoje wersje. Stworzyliśmy więc opowieść, której bohaterowie byli tak podobni do Tristana i Izoldy, że stało się w końcu na nich”. I trudno się z tym nie zgodzić – opowieść rzeczywiście została zmieniona. Została spłycona.

W Polsce, gdzie tekst Bédiera stanowi lekturę w szkołach średnich, nie sposób przyjąć tego co widzimy na ekranie jako wierne przedstawienie dziejów Tristana i Izoldy. Scenariusz jest bardzo luźną kompilacją tych fragmentów i epizodów z licznych wersji legendy, które uznano za najbardziej dogodne dla szybkiej realizacji filmu. W ten sposób pozbyto się większości elementów wspólnych dla różnych opowieści. Pewne zmiany są z wielu powodów uzasadnione, jak w przypadku epizodu ze smakiem, którego za-

bija Tristan uzyskując w zamian rękę Izoldy Jasnowłosej (oczywiście w imieniu króla Kornwalii Marka). W zamian mamy co prawda mało realistyczny turniej, ale filmowcy ustrzegli się nawiązań do gatunku fantasy. Całkiem niezrozumiałe jest natomiast pominięcie eliksiru, który był sprawcą tej niezwykle miłości tytułowych bohaterów, czy brak w ekranizacji Izoldy o Białych Dłoniach – niekochanej przez Tristana żony. W legendzie mamy też postać Morholta – dzielnego i niezwyciężonego rycerza irlandzkiego, a jednocześnie siostrzeńca Izoldy Jasnowłosej. Jednak filmowy Morholt to



Graham Mullins jako Morholt



James Franco jako Tristan



tępy osiłek, wykonujący bez mruknięcia okiem nawet najbardziej fanatyczne rozkazy swojego mocodawcy – króla Donnchadha. Co więcej Morholt nie jest już siostrzeńcem Izoldy, ale kandydatem na jej męża, a w przeszłości zabił rodziców Tristana. Nic zatem dziwnego, że osiąga go w końcu sprawiedliwość dziejowa w formie miecza Łończyka. Poza królową Izoldą niemal wszyscy Irlandczycy zostali w filmie przedstawieni jako barbarzyńcy, bezlitośnie mordujący niewinnych Brytów (stąd rekordowo niskie dochody ze sprzedaży biletów na wyspie świętego Patryka?).



Sophia Myles jako Izolda

Jednak sposób przedstawienia postaci w filmie budzi zastrzeżenia nie tylko w odniesieniu do Irlandczyków. Także tytułowi bohaterowie zostali potraktowani po macoszemu. Izolda Jasnowłosa do czasu spotkania z Tristaniem wiecie żywot blond-królewny, obrażonej na cały gatunek męski po śmierci matki. Tristan natomiast to wiecznie ponury i niezadowolony z siebie samotnik, nawet po odnalezieniu w miłości sensu życia.

Wreszcie bardzo dyskusyjna jest kwestia uczucia bohaterów. W literaturze kładzie się nacisk na doskonałość miłości łączącej kochanków. To miłość idealna, bez względu na wszelkie przeciwności. W redakcji przygotowanej przez Bédiera nie została nawet fizycznie zrealizowana. W filmie natomiast mamy całkiem inną wizję, kładącą nacisk raczej na namiętność. W Hollywood wszystko musi być bowiem spełnione i dosłowne. I nawet wierna służka Brangien, pełniąca rolę „stróża czystości” młodej królowej, po licznych staraniach wreszcie kapituluje dając wolną rękę swojej podopiecznej.

Dzieje Tristana Łończyka to także opowieść o zemście, która w ostatecznym rozrachunku dotyka wrogów, ciągle spiskujących przeciw parze kochanków. Andret, Gwenelon, Gondoin i Denoalen – czarne charakterzy z legendy, mają w filmie tylko jeden odpowiednik w osobie ogarniętego szaleństwem władzy Lorda Wictreda z Glastonbury, przy czym jest on raczej wrogiem króla Marka niż Tristana i Izoldy. Przytoczenie większej liczby podobnych rozbieżności z legendą nie nastroczałoby trudności i w konsekwencji to one decydują.



Bronagh Gallagher jako Brangien



Ceremonia zaślubin



Ceremonia zaślubin

że po projekcji można czuć lekkie rozczarowanie.

Film „Tristan i Izolda” ma jednak także swoje zalety. Przede wszystkim to przeszło 125 minut bardzo dobrej pracy „rzemieślniczej”. Warte podkreślenia są świetne zdjęcia operatora Arthura Reinharta (kręcone przy tym nie w Kornwalii, a na zachodnim wybrzeżu Irlandii i w Czechach) oraz subtelna oprawa muzyczna Anne Dudley z lekko zarysowanymi motywami celtyckimi. Z wielką dbałością dopracowano choreografię walk i pojedynków, ale moim osobistym faworytem jest dwuminutowa scena na wpół pogańskich zaślubin Izoldy i króla Marka - pozbawiona wszelkich dialogów, ale zrealizowana z wielkim kunsztem.

Ostatecznie należy także pamiętać, że filmy „historyczne” nie są realizowane na potrzeby historyków czy znawców literatury, ale mają trafić do szerszego grona odbiorców. Stosując ten punkt widzenia Tristan i Izolda to film, który może się podobać, zwłaszcza jeśli widzowie lekturę szkolną potraktowali jako nieobowiązkową. Z drugiej jednak strony zarówno z filmu, jak i legendy wypływa je-

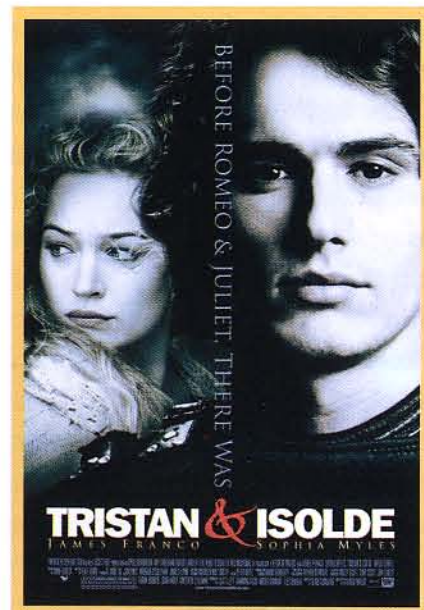
den morał, nie zawsze uwzględniany w krytycznym spojrzeniu historyka na przeszłość, że czynnikami sprawczym zawsze są nie wybitne jednostki, czy zależność środków i stosunków produkcji, a jedynie i po prostu... miłość.

Paweł Szarejko
pawel8111@op.pl

Bibliografia

Źródła:

Tristan i Izolda, ze starofrancuskiego tekstu Béroula - Thomasa: Powieść o Tristanie, Marii z Francji: Wiciokrzew, Szaleństwo Trista-



na, przeł. i opr. J. Górecka-Kalita, Wrocław 2006

Tristan i Izolda, odtworzył J. Bédier, Warszawa 1989;

Tristan i Izolda, reż. Kevin Reynolds (2006).

Opracowania:

Grzybowski S., Historia Irlandii, Wrocław 1977;

Historia Irlandii, pod. red. T.W. Moody'ego i F.X. Martina, przeł. M. Goraj-Bryll i E. Bryll, Poznań 1998;

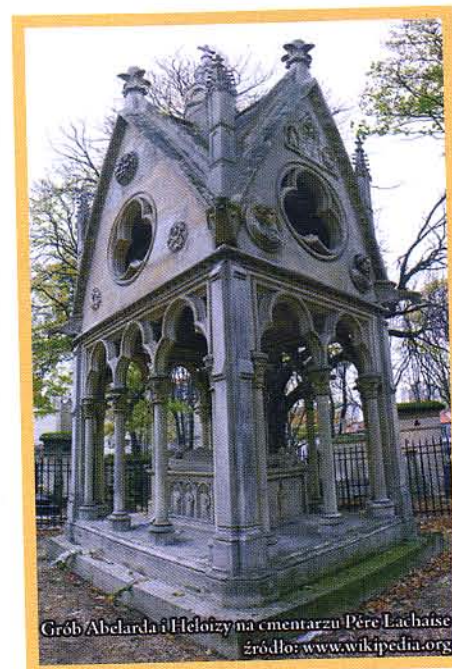
Johnson P., Historia Anglików, przeł. J. Mikos, Gdańsk 2002.

Lipoński W., Narodziny cywilizacji Wysp Brytyjskich, II. Wyd., Poznań 2001.

Zins H., Historia Anglii, Wrocław 1979.

Źródło ilustracji:

20th Century Fox



Grób Abelarda i Heloizy na cmentarzu Père Lachaise
źródło: www.wikipedia.org

Losy najsłynniejszej pary średniowiecznych kochanków: filozofa Piotra Abelarda i jego uczennicy - Heloizy, przeszły do historii dzięki skromnej korespondencji powstałej co najmniej w dwanaście lat po bolesnym rozstaniu. Zachowało się 8 listów (5 Abelarda i 3 Heloizy), które w XIII w. wykorzystał poeta Jan z Maung w swoim dziele „Powieść o róży”, dzięki czemu „losy kochanków stały się szeroko znane i na dobre zakorzeniły się w świadomości ludzi średniowiecza (J. Burge)”. Dużą rolę w poznaniu losów naszych bohaterów odegrał też list Abelarda do przyjaciela, noszący tradycyjny tytuł - „Historia moich niedoli”, który był specyficzną formą autobiografii. Źródła te znane od średniowiecza zainspirowały wielu późniejszych autorów, szczególnie z XVIII i XIX wieku, poszukujących wzorca doskonałej, acz niespełnionej miłości. Od niedawna znamy fragmenty innych, 113 listów, pochodzących z okresu rozkwitu gorącej miłości słynnej pary. Nie

Listy miłosne Abelarda i Heloizy

PIOTR GUZOWSKI

zmieniają one ogólnego obrazu burzliwego związku, ale znacząco go uzupełniają.

On

Piotr urodził się w 1079 r. w Pal-et niedaleko Nantes w Bretanii w rodzinie rycerskiej. Nie kontynuował jednak ojcowskich tradycji i wybrał inną drogę życiową. Jak sam pisał „Natura rodzinnego kraju i związki krwi zaszczyły we mnie żywość usposobienia i również dzięki nim odziedziczyłem umysł lotny i bystry do nauk i literackiej twórczości”. Opuściwszy dom rodzinny wędrował po kraju, słuchając wykładów, z których najsłynniejsze głoszone w szkole w Chartres. Tam zdobył przezwisko-pseudonim Abelard pochodzące od francuskiego słowa abeille, oznaczającego pszczołę, ze względu na pracowitość i rzadkie zdolności. Początkowo Abelard studiował matematykę, następnie poświęcił się logice i filozofii. Wkrótce po przeprowadzce do Paryża zaczął uczęszczać na zajęcia Wilhelma z Champeaux, ale szybko przerósł mistrza i gdy zaczął z nim rywalizować opuścił stolicę, by założyć własną szkołę w pobliskim Me-

lun, a następnie w Corbeil. Nie zagrzebał tam długo miejsca gdyż, jak pisał: „W niedługi jednak czas potem rozchorowałem się z powodu nadmiernych wysiłków w nauce i wyczerpania. Musiałem powrócić do stron rodzinnych i kilka lat przebywać jak na wygnaniu z dala od Francji, pozostawiając po sobie serdeczny żal wśród miłośników dialektyki”. Powrót do Paryża po kilku latach zaowocował kolejnym konfliktem ze swoim dawnym nauczycielem - Wilhelmem i ostatecznie Piotr Abelard otworzył własną, słynną szkołę na Górze św. Genowefy, do której zaczęły sięgać rzesze studentów. Wraz ze sławą znakomitego wykładowcy teologii i filozofii zyskał autorytet i majątek. Dumny z osiągniętej pozycji zawodowej pisał: „(...) sądziłem, że nie ma na świecie innego filozofa poza mną”. Życie Abelarda w tym czasie nie ograniczało się tylko do pracy naukowej i dydaktycznej. Po latach samokrytycznie zauważył: „(...) ponieważ pomysłność zawsze głupich napęla pychą, a brak troski o materialne warunki życia osłabia energię ducha i czyni go łatwo uległym ponętom ciała, podobnie i ze mną się sta-

ło. Kiedy już uległem złudzeniu, że jestem jedynym mędrce na świecie i nie obawiałem się znikąd niczyjej napaści, zacząłem folgować swym namiętnościom, choć dotąd żyłem tak wstrzemięźliwie". Nie do końca wiemy co w praktyce oznaczały słowa filozofa. Jedną z nieprzychylnych mu osób, w cierpkich słowach zwróciła później uwagę: „Upadek twój - jak powiadają - spowodowała skłonność do wszystkich kobiet i sidła pożądania, w które one chwytają rozpustników". Nie wydaje się, by ta opinia była prawdziwa. Sam Abelard opisując późniejszy romans z Heloizą podkreślał zupełny brak doświadczenia w relacjach damsko-męskich. Wspominał: „Ponieważ zawsze czułem wstręt do wszelkich kontaktów z nierządnicami, z drugiej strony ponieważ ciągle zajęcia szkolne i praca naukowa nie pozwalały mi nigdy na bliższe znajomości z kobietami ze szlachetnego rodu, zresztą nie utrzymywałem nawet towarzyskich stosunków z dziewczętami ze stanu rycerskiego, w tej sytuacji zdradliwe, jak mówią, szczęście znalazło sprzyjającą okazję...".

Ona

Był rok 1115. Kanonik katedralny Fulbert zwrócił się do Abelarda z niecodzienną prośbą. Chodziło o udzielanie prywatnych lekcji filozofii jego siostrzenicy - Heloizie. O jej pochodzeniu i młodości wiemy niewiele. Być może była córką jednej z zakonnic rozwiązanego klasztoru Saint Eloi w Paryżu. Posiadała rzadkie, nie tylko jak na kobietę, klasyczne wykształcenie,

które zdobyła w klasztorze w Argenteuil pod Paryżem. Możliwość nauczania tej niezwyklej kobiety wydała się Abelardowi niezwykle atrakcyjna: „Jeżeli nawet pod względem urody była nie najpiękniejsza, za to przez bogactwo swej wiedzy nie miała równej". Młodą Heloizę z kolei, perspektywa spotkania i pobierania nauk u najtęższego umysłu tych czasów, musiała wprowadzić w stan niepokoju podniecenia. Po latach pisała: „Kto z królów i książąt mógł równać się z tobą w sławie? Jaki kraj, jakie miasto, jaka wioska - nie pragnęły cię widzieć? (...) która to panna, która mężatka nie tęskniła za tobą, kiedyś był nieobecny, a nie rozgorzała miłością w twojej obecności? Która królowa, która potężna księżniczka nie zazdrościła mi szczęścia, miłości?".

Oni

Heloiza miała nieco ponad 20 lat i mieszkała wraz ze swoim wujem. Piotr był starszy, miał lat 36. Nie wiemy kto zrobił pierwszy krok. Abelard pisał: „Po rozważeniu wszystkich momentów, jakie mają przyciągającą siłę dla zakochanych, tę właśnie młodą dziewczynę uznałem za najbardziej odpowiednią na swą wybrankę. Wierzyłem, że łatwo uda mi się wzbudzić w niej miłość wzajemną". Filozof był pewny swego uroku: „Tak wielka była w tym czasie sława mego imienia, tak wspaniała uroda i czar młodości, że nie miałem obawy, aby kobieta, którą bym zaszczylił uczuciem serca, odmówiła mi wzajemności". Ale i Heloiza miała swoją dumę. W odpowiedzi na błagania stęsknionego

Piotra - „Napisz coś, choćby kilka słów (...)”, ukochana szorstko zareagowała - „Napisalabym więcej, ale mądryemu człowiekowi wystarczy kilka słów".

Filozof wkradł się w łaski kanonika Fulberta i przekonał go, by pozwolił mu zamieszkać w jego domu, położonego blisko szkoły Notre-Dame, gdzie Piotr miał wykłady. To ułatwiło kontakty z Heloizą. Jak pisał: „Najpierw złączył nas wspólny dom, a później zjednoczyły się serca. Pod pozorem nauki cały czas poświęcałmi sobie. Udzielanie lekcji było sprzyjającą okazją do potajemnych schadzek, tak upragnionych dla zakochanych. Nad otwartymi zwojami więcej było mowy o miłości niż o nauce, więcej pocałunków niż uczonych sentencji. I częściej ręce sięgały do łona niż dotykały kart książek. Częściej rozpromienione miłością oczy były wpatrzone w kochaną osobę, niż w martwe litery".

Listy

Kiedy kochankowie nie mogli się spotykać pisali do siebie listy. Abelard wspominał: „W tym stanie rzeczy mogliśmy nawet na odległość utrzymywać ze sobą łączność za pośrednictwem listów; o niejednym śmieiej powiedzieć sobie na piśmie, niż w ustnej rozmowie i w ten sposób ciągle prowadzić słodką wymianę myśli". Pisali do siebie rysikiem na drewnianych, pokrytych woskiem, tabliczkach, które przynosił adresatowi służący nie znający, oczywiście, łaciny. Po odczytaniu wiadomości wosk można było podgrzać i wygładzić, dzięki czemu uzyskiwano miejsce na od-

powieź. W ten sposób oszczędzano na bardzo drogim pergaminie, ale narażano się na niedogodności. W liście do Heloizy Piotr narzekał: „Gdybym mógł zatrzymać twoje tabliczki choć chwilę dłużej, najdroższa, pisałbym o wiele więcej, o tylu przecież rzeczach chciałbym ci opowiedzieć".

W okresie pozostawania ich związku w ukryciu kochankowie wymieniali korespondencję ze sobą codziennie. Heloiza przepisywała listy Abelarda na zwój pergaminu, dodając treść swoich odpowiedzi. Dzięki temu powstał regularny zapis rozterek, emocji i cierpienia. Momentami wpisywał się on w konwencję epoki i zabieganie dnia codziennego (Ona: „Ponieważ nie mam czasu by pisać w tej chwili, wypłakuję setki razy i powtarzam tysiące moje życzenie byś miał się dobrze..."), a czasem przeradzał się w próbę usystematyzowania autorefleksji dotyczącej dominującego uczucia (On: „Miłość zatem to szczególna siła duszy, istniejąca nie dla samej siebie... ale zawsze wlewającą się w inną osobę z pewnym pragnieniem, pożądaniem, sprawiającym że, wola dwojga staje się jednym..."). Korespondencja z tego okresu poświadcza wszystkie aspekty miłości dwojga kochanków. Znalazło się w niej miejsce zarówno na rozważania intelektualne dwojga wykształconych przyjaciół, jak i wyznania zmysłowych kochanków przeżywających erotyczną przygodę (On: „Ciało twe, tak pełne wilgoci, ma niewysłowny zapach"). Po latach Abelard, który według słów Heloizy był wielce utalentowany w mi-

łości, napisał: „W miłosnym rozpamiętaniu przeszliśmy wszystkie stopnie kochania, spełniając każde szaleństwo rozigranej fantazji, i tym namiętniej chłonełmi czar miłosnych uniesień, nie doznając przesyty, że były to dla nas rzeczy dotąd nieznane". Fantazji parze nigdy nie brakowało, potrafili się kochać nawet w klasztornym rektorzu.

W czasie jednego z miłosnych zbliżeń zostali przyłapani przez wuja Heloizy. Był to dla niego szok. Zobowiązał kochanków do zakończenia znajomości, jednak uczucie w ich sercach pozostało i nadal spotykali się potajemnie, pisali do siebie listy. Wkrótce też okazało się, że Heloiza jest w ciąży. Abelard po kryjomu wywiózł ją z Paryża do Bretanii, gdzie urodziła synka, któremu nadali imię Astrolabiusz, pochodzące od nazwy urządzenia astronomicznego. Astrolabium było podręcznym modelem wszechświata, wskazującym położenie planet, gwiazd i Słońca. W tym czasie Piotr udobruchał, jak się wydawało, Fulberta obietnicą poślubienia ukochanej. Małżeństwo jednak nie satysfakcjonowało żadnej z stron. Musiało ono być zawarte w tajemnicy, gdyż wuj Heloizy nie chciał ujawnienia skandalu. Można przypuszczać, że także Abelardowi, jako klerykowi i kanonikowi mogło zależeć na zachowaniu pozorów życia w celibacie, choć bezżenność duchownych nie była wówczas jeszcze obowiązującym standardem. Po latach jednak filozof przyznawał, że bardziej go niepokoiło co innego w zaistniałej sytuacji: „Kto wreszcie, będąc zato-

pionym w rozmyślaniach o tajemnicach teologii czy filozofii, potrafi spokojnie słuchać głośniego kwilecia niemowląt i kołysanek, jakie im do snu melodyjnie nuca piastunki, by je uciszyć? Kto ścierpi hałaśliwe wrzaski niesfornej służby? Kto ma tyle siły, by patrzeć na ciągle pranie dziecinnych pieluszek?". Sama Heloiza, którą najbliżsi jej mężczyźni traktowali dosyć przedmiotowo, była również przeciwna założeniu rodziny. Uważała, nie bezpodstawnie, że małżeństwo zaszkodzi karierze Piotra, musiałby on bowiem zrezygnować z funkcji wykładowcy w szkole katedralnej. Ponadto wierzyła, że jej miłość oparta na głębokiej duchowej więzi, była czymś wyjątkowym, uczuciem tak wielkim, że wykraczało ponad społecznie akceptowaną formułę małżeństwa. Mimo to, pod naciskiem Abelarda zgodziła się na tajną ceremonię zaślubin. Pozostawiając w Bretanii Astrolabiusza, wróciła do Paryża i choć została żoną Abelarda to mieszkała nadal w domu kanonika Fulberta. Relacje siostrzenicy z wujem błyskawicznie uległy pogorszeniu i Piotr ponownie po kryjomu wywiózł ją z miasta, tym razem do niedalekiego i dobrze jej znanego klasztoru w Argenteuil, gdzie odwiedzał ją często i gdzie mogli czuć się ze sobą swobodniej, niż w domu Fulberta.

Stryj Heloizy wpadł w szal. Nie dość, że nie wiedział, gdzie znajduje się jego podopieczna, to skrywane przed opinią publiczną małżeństwo wyszło na jaw. Czując się zhańbiony, a być może też, jak sugerują historycy, skrycie zakochany w kuzynce, postanowił się zemścić

na głównym sprawcy wszelkich nieszczęść, które spadły na jego dom. Abelard opisał to wydarzenie następująco: „Jednej nocy, kiedy spokojnie spałem w odosobnionej izbie mojego domu, przekupili złotem jednego z moich służących, wtargnęli i rzucili się na mnie, by dokonać okrutnej, a zarazem haniebnej zemsty, która wzbudziła w świecie wielkie zdumienie - pozabawili mnie nożem tej części ciała, przez którą uczyniłem to, co było dla nich przyczyną rozgoryczenia”.

Jak pisał James Burge: „Nawet u największych intelektualistów świadomości nie da się oddzielić od ciała”. Filozof nie został okaleczony tylko fizycznie. Jego intymne życie i świat stworzony wspólnie z Heloizą runęły. Załamany poprosił żonę, by wstąpiła do zakonu. W późniejszym czasie Heloiza to wprost przyznawała: „Nie żadna pobożność czy powołanie od Boga, ale polecenie od ciebie zawiodło mnie w pierwszym rozkwicie młodości w ponure mury klasztorne”. Podobnie zrobił Abelard.

Przez kolejnych 12 lat nie widzieli się i nie kontaktowali się ze sobą. On nadal wykładając filozofię i teologię, początkowo w opactwie Saint Denis, a następnie w klasztorach Szampanii i Bretanii popadł w konflikt z hierarchią kościelną i musiał się bronić przed oskarżeniami o herezję. Swoje losy opisał w liście do nieznanego z imienia przyjaciela. Nie wiemy w jaki sposób dotarł on do Heloizy, będącej wówczas przeoryszą w klasztorze w Argenteuil. Poruszona jego treścią napisała do męża, rozpoczynając korespondencję, dzięki której

przeszła do historii. W międzyczasie, po likwidacji klasztoru w Argenteuil przeniosła się do Parakletu, gdzie prowadziła dom zakonny, w miejscu wybranym przez Abelarda. Odwiedzał ją tam i zapewne się nieraz spotkali.

Tam też zapewne Heloiza przechowywała zwój pergaminowy z okresu rozkwitu miłości. Odnalazł go w XV w. Jan de Vepria, zakonnik z Cîteaux, przygotowujący podręcznik pisanie listów. Zwrócił on uwagę na formuły grzecznościowe umieszczane na początku korespondencji. Kochankowie zawsze obdarzali się mniej lub bardziej rozbudowanymi pozdrowieniami, które dziś mogą się kojarzyć raczej z zauroczeniem nastolatków: (np: „Do mojej ukochanej, słodszej, niż miód i plaster miodu, jeśli cokolwiek w swojej słodkości może się zbliżyć do tej, która posiada wszystkie słodkości świata. Jesteś całym moim życiem, moim pożądaniem”), ale wówczas znamionowało cechy wyszukanego stylu. De Vepria zdecydował się umieścić w swoim podręczniku rozdział pt. „Listy dwojga kochanków”, w którym początkowo podał wzory powitań i pożegnań, ale zaintrygowany treścią listów Abelarda i Heloizy, dodał też inne fragmenty korespondencji. Ogółem wykorzystał 113 listów, ale nie podał imion ich autorów, których określił jako Kobietę i Mężczyznę. Jego dzieło nie należało do najpopularniejszych i nawet współczesne nam wydanie nie wzbudziło wielkiego zainteresowania.

W 1980 r. Constant Mews, dobrze znający historię Heloizy i Abelar-

da, mediewista z Nowej Zelandii, przeglądając ów podręcznik skojarzył frazy rozpoczynające się od anonimowych „Ona” i „On” z parą sławnych kochanków. Odkrycie to stało się olbrzymią sensacją. Jak to określił wyżej cytowany James Burge: „To jakby znaleźć nową sztukę Szekspira albo zaginioną Ewangelię”. Przez kolejne lata dyskutowano w środowisku historyków na temat autentyczności listów. Uznano, że ich styl jest niezwykle podobny do późniejszych. W dodatku ich treść nie staje w sprzeczności z „Historią moich niedoli” Abelarda, ani z korespondencją z następnych lat. W 1999 r. fragmenty 113 listów ukazały się w krytycznym wydaniu pod jednoznacznym tytułem: „The Lost Love Letters of Heloise and Abelard”.

Piotr Guzowski
guzowski@uwb.edu.pl

Bibliografia

Źródła:

Abelard P., Historia moich niedoli i inne listy, przeł. i oprac. L. Joachimowicz, Warszawa 1993.
Mews J. Constant, The Lost Love Letters of Heloise and Abelard, New York 1999.

Opracowania:

Burge J., Abelard i Heloiza, przeł. M. Szubert, Warszawa 2005.
Gilson E., Heloiza i Abelard, przeł. A. Podsiad, Warszawa 2000.
Pernoud R., Heloiza i Abelard, przeł. E. Bąkowska, Warszawa 1982.

Głos pierwszy: Kamil Roszkiewicz

Marcin Luter jest postacią ważną nie tylko dla historii chrześcijaństwa, ale i dziejów Europy. Jego interesujące życie od stuleci było powodem namiętnych sporów, napędzanych nie tylko chęcią bliższego poznania tego fascynującego człowieka, ale również bieżącymi konfliktami pomiędzy katolikami i protestantami. Spojrzenie na postać Marcina Lutra determinowane było często przez osobiste poglądy lub konfesję autorów. Wraz z rozwojem historiografii powstawało jednak coraz więcej niezależnych światopoglądowo opracowań poświęconych autorowi 95 tez, dzięki czemu dysponujemy dziś wieloma wartościowymi publikacjami, a jego biografia zawiera coraz mniej luk.

Film „Luther” z 2003, w reżyserii Erica Tilla, nie jest pierwszą próbą przybliżenia postaci Marcina Lutra za pośrednictwem szklanego ekranu. Z wcześniejszych filmów wymienić można dzieło Guya Greena z 1973 r. („Luther”), w którym w postać mnicha-reformatora wcielił się Stacy Keach. Oprócz tego w latach 1953 i 1983 powstały miniseriale, oba pod tytułem „Martin Luter”.

Omawiany film jest niewątpliwie pozycją udaną, przedstawia nam najważniejsze momenty w życiu Marcina Lutra, momenty które zadecydowały o jego drodze życiowej. Opowieść rozpoczyna się przedstawieniem okoliczności, w których młody Marcin zdecydował się wybrać drogę zakonnika. Kim był ten przestraszony burzą wędrowiec? Urodził się w 1483 roku

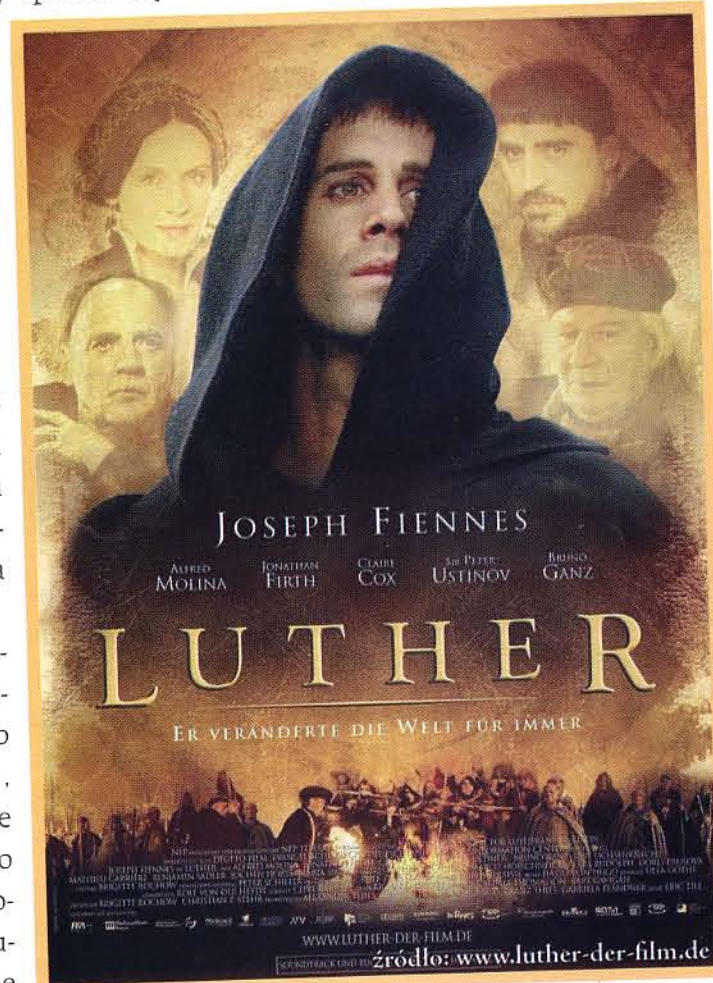
Trzy głosy o autorze 95 tez na marginesie filmu „Luther”

KAMIL ROSZKIEWICZ,
MONIKA SZPAKOWSKA, PAWEŁ SZAREJKO

w Eisleben, w Turyngii, miał za sobą edukację w szkole miejskiej w Mansfeld i szkołach klasztornych w Magdeburgu i w Eisenach. W 1501 roku rozpoczął naukę na uniwersytecie w Erfurcie, by w cztery lata później uzyskać tytuł magistra filozofii. Wówczas to prawdopodobnie po raz pierwszy spotkał się z całością Pisma Świętego, a nie w Wittenberdze, jak to przedstawiono w filmie. Nie był to koniec kariery naukowej Marcina Lutra, rozpoczął bowiem wróżące mu świetlaną przyszłość studia prawnicze.

Zmiana planów nastąpiła w sposób nietypowy, otóż na drodze z Mansfeld do Erfurtu napotkała go burza, w czasie

której za ocalenie obiecał Bogu wstąpienie do stanu duchownego. Biografowie podkreślają, że decyzja ta mogła dojrzewać w jego umyśle już wcześniej, gdyż w ówczesnym świecie wybór życia zakonnego był powszechniejszy niż dzisiaj. Dwa tygodnie po ślubach zakonnych wstąpił do klasztoru



augustianów w Erfurcie. Decyzja ta nie spotkała się z aprobatą surowego ojca, który pragnął dla syna kariery świeckiej. Należy docenić znakomicie uchwyconą postawę Hansa Lutra, nawet jeśli pamiętamy, że gorzkie ojcowskie słowa nie zostały wygłoszone z konia pod kościołem po prymicji (pierwszej mszy) syna, jak to przedstawiono na ekranie, ale podczas oficjalnego poczęstunku. Prawdziwy był również niepokój Marcina w trakcie tej ceremonii, jak sam wspominał, ogarnęło go poczucie małości, zastanawiał się:

„Kim jestem, bym mógł wznosić swe oczy lub podnieść ręce ku Boskiemu Majestatowi? (...) Jestem przecież prochem i popiołem, jestem pełen grzechu, a mam mówić do żywego, wiecznego i prawdziwego Boga” (cyt. za J. Todd).

Po wyświęceniu kontynuował studia w Erfurcie i Wittenberdze (lata 1508-1509), gdzie wykładał też teologię dla studentów zakonnych. Rozpoczął także naukę hebrajskiego. Jednocześnie przeżywał niepokoje duchowe: „Jakkolwiek żyłem nienagannie jako zakonnik, czułem się w obecności Boga grzesznikiem o najbardziej niespokojnym sumieniu, nie mogłem też nigdy mieć pewności, że zadowolilem Go swą pokutą. Nie kochałem, nie raczej nienawidziłem tego sprawiedliwego Boga” (cyt. za J. Todd).

W 1511 r. bohater odbył podróż do Rzymu. Nie była to prywatna pielgrzymka, ale wyjazd w sprawach zakonnych. Wyprawa ta odegrała zapewne poważną rolę w ukształtowaniu jego poglądów. Nie ma raczej przesady w przed-

stawionej w filmie wizji ówczesnego Rzymu - miastu daleko było do starożytnej świetności, a obyczaje w nim panujące odbiegały od chrześcijańskiego wzorca. Po powrocie do Niemiec Luter został przeniesiony do klasztoru w Wittenberdze, gdzie nawiązał bliższy kontakt ze Staupitzem, który przez pewien czas był duchowym ojcem niespokojnego zakonnika. Pomagał mu, kiedy mnich przeżywał rozterki i toczył wewnętrzne walki. To on zaproponował, liczącemu wówczas 28 lat, Lutrowi studia doktoranckie.

Marcin Luter poświęcił się wykładom na założonym przez Fryderyka Mądrego uniwersytecie, a w 1514 r. został też kaznodzieją kościoła parafialnego. Równocześnie jego poglądy ulegały krystalizacji, świadomość teologiczna osiągnęła punkt kulminacyjny. Jedną z najwcześniejszych znanych wypowiedzi krytykujących odpusty pochodzi z kazania wygłoszonego 31 października 1516 r. Właśnie w rocznicę tego wydarzenia przybił na drzwiach katedry w Wittenberdze 95 tez. Nie był to jednak żaden atak na zwyczaje panujące w Kościele, ale typowe wezwanie do uniwersyteckiej debaty. Luter wysłał również po jednym egzemplarzu też arcybiskupowi Moguncji i swemu biskupowi diecezjalnemu, nie informując jednak o tym księcia Fryderyka. Ideę, z której wyprowadzono zwyczaj sprzedawania odpustów w prosty sposób wyjaśniono w filmie ustami Jana Tetzla. Wywodziły się one z nauki o skarbcu duchowym dóbr Kościo-

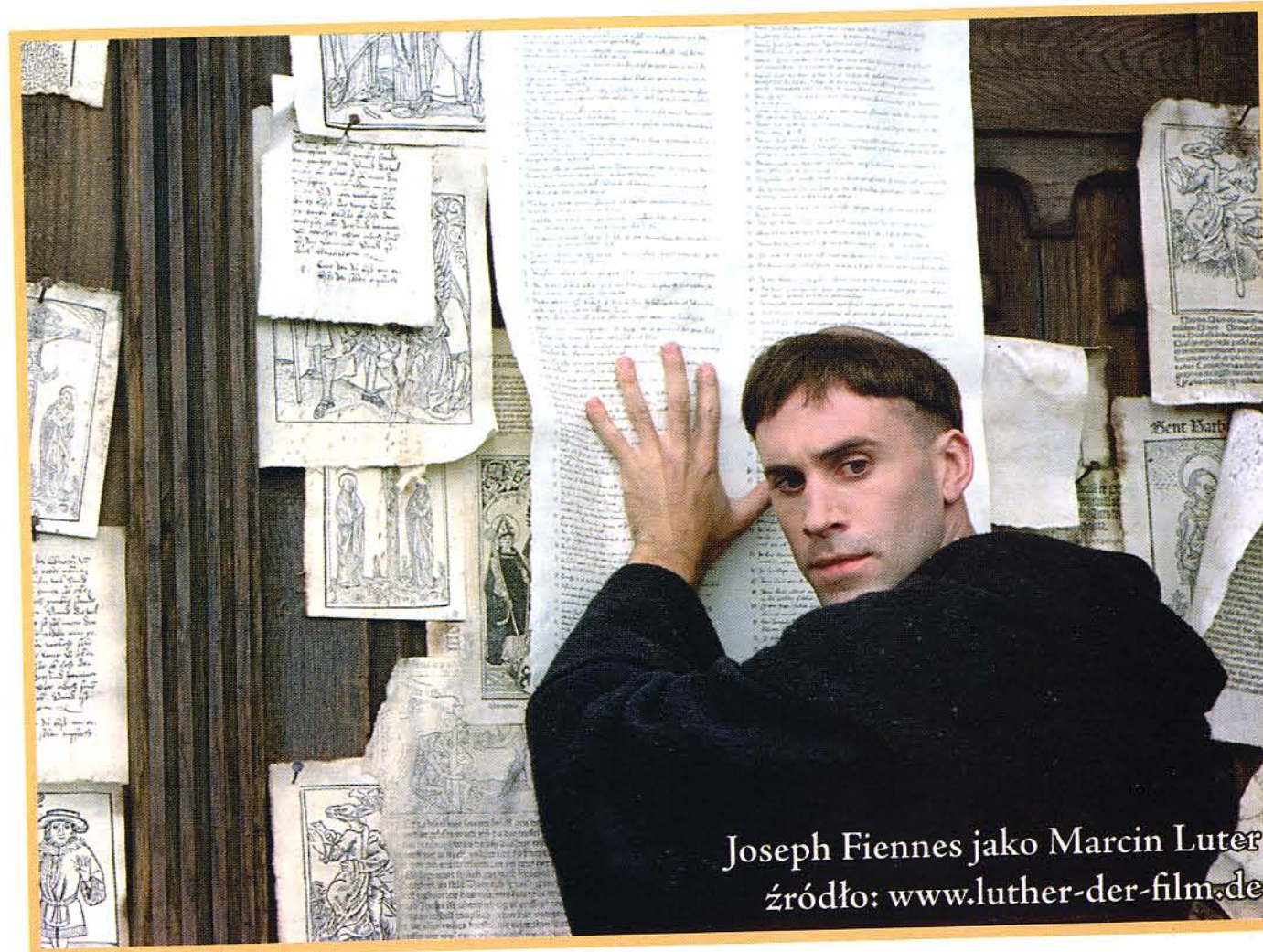
ła, miały zwalniać, bądź skracać pobyt w czyśćcu dzięki dobrym uczynom świętych i Chrystusa. Odpust oznaczał darowanie doczesnych lub czyśćcowych kar za grzechy, chociaż wina została już zmasana w sakramencie pokuty. Możliwość sprzedawania odpustów nigdy nie została potwierdzona przez sobór, a zatem jej podważanie nie mieściło się w kategorii herezji. Dodać do tego można, że sama idea czyścica, niepotwierdzona Pismem Świętym, budziła przez długi czas duże wątpliwości, które rozwiązano dopiero uchwałą soboru florenckiego w 1439 r.

Można przy tym dodać, że choć wspomniany Tetzel, wbrew temu, co pokazano w filmie, nigdy nie rozwinął swej działalności w Wittenberdze, ponieważ posiadający sporą kolekcję relikwii Fryderyk Mądry, nie tolerował konkurencji na swojej ziemi, to jednak echa działalności dominikanina musiały dotrzeć do Lutra i przyczynić się do opublikowania słynnych tez. Nie wywołały one jednak spodziewanej debaty, Luter nie uzyskał też odpowiedzi od arcybiskupa. Dlatego postanowił rozesłać tezy akademickim przyjaciołom. Dotarły między innymi do Erazma z Rotterdamu i Tomasza More'a w Anglii. Trafiły również w ręce Tetzla, który zastosował chyba najprostszy mechanizm obronny: zamiast zwalczać argumenty, zaczął zwalczać przeciwnika, nazywając go heretykiem. Równocześnie Albrecht, arcybiskup Moguncji, zadenuncjował Lutra w Rzymie.

W 1518 r. doszło do spotkania z kardynałem Kajetanem (właściwe nazwisko Tomasz de Vio). Była to niewątpliwie interesująca postać, dostrzegająca konieczność reform w Kościele - z tego punktu widzenia film poprawnie oddaje charakter tego bohatera. Mimo to, w trakcie trwających trzy dni

bulli Exsurge Domine, zawierającej zagrożenie klątwą, potępienie niepowiązanych ze sobą tez Lutra, jako twierdzeń heretyckich. Nakazywała także spalenie wszystkich jego dzieł, oraz domagała się odwołania „błędnych” poglądów w ciągu 60 dni. Wykonaniem jej postanowień w Niemczech miał zająć

gijne człowieka, była symbolem władzy i jurysdykcji kościelnej. Wydaje się, że wydanie bulli ostatecznie przekonało Lutra o zerwaniu z Rzymem, napisał on „Traktat o wolności chrześcijańskiej” oraz list do papieża, w którym stwierdzał: „Wszystko ze stolicą rzymską skończone, dotknął ja gniew Boży



Joseph Fiennes jako Marcin Luter
źródło: www.luther-der-film.de

rozmów z Lutrem nie udało się osiągnąć kompromisu. Od niepokornego zakonnika oczekiwano jedynie wyrzeczenia się swoich poglądów, o czym już przed rozmową poinformował Lutra Serralonga, a nie Aleander, jak to przedstawiono w filmie.

Nieugięta postawa Lutra doprowadziła do wydania w 1520 r.

się Eck, z którym Luter w 1519 r. odbył w Lipsku nieprzedstawioną w filmie debatę. Natomiast egzekucję decyzji papieskiej na terenie Niderlandów powierzono Aleandrowi. Luter odpowiedział spalaniem nie tylko bulli, ale i księgi prawa kanonicznego, co ówczesnie miało szerszy wydźwięk. Księga ta regulowała życie reli-

(...) Szatan powinien być papieżem, ponieważ On bardziej rządzi w tym nowym Babilonie jak Ty, Panie” (cyt. za J. Todd).

Następne wydarzenia przedstawione zostały w filmie w skróto. Mamy więc na przykład sejm w Wormacji (1521), na którym wydano na Lutra wyrok banicji. Ponieważ posiadał on gwarantu-

jący mu bezpieczeństwo podróży list żelazny, nie zdecydowano się na jego złamanie, planując schwytanie Marcina dopiero w drodze powrotnej. Ponieważ Fryderyk Mądry nie śmiał otwarcie wziąć Lutra w obronę, zdecydował się na sfingowanie porwania i ukrycie go na zamku w Wartburgu. Następnie oglądamy echa działalności ulegającego prądom radykalnym Karlstadta. Przedstawiono również wojnę chłopską, do stłumienia której zachęcał książąt Luter. Ostatnim przedstawionym wydarzeniem jest sejm w Augsburgu, na którym protestanci na żądanie cesarza przedstawili swoje wyznanie wiary, ułożone przez Melanchtona (właściwie Filipa Schwarzerd), oddanego współpracownika i przyjaciela Lutra, nie odgrywającego w filmie jednak żadnej roli. Jest to wydarzenie kończące filmową opowieść, jednak nie konflikty i wojny religijne w Niemczech. Dopiero drugi sejm w Augsburgu, w 1555 r. przyniósł kompromisowy pokój i słynną zasadę cuius regio eius religio.

Film jest dziełem niewątpliwie udanym, jednak przy jego ocenie należy pamiętać, że jest to biografia Lutra, a nie obraz poświęcony wojnom religijnym, czy dziejom reformacji. Dlatego też reżyser słusznie skupia się na postaci reformatora, przedstawiając jego wewnętrzną walkę, lęki, czy nawet stany depresyjne. W sumie zaprezentowano wszystkie przełomowe momenty jego życia, choć niektóre elementy potraktowano oczywiście pobieżnie. Zdarzają się również elementy fikcyjne, jak

w przypadku popełniającego samobójstwo chłopca. Wydarzenie to miało wstrząsnąć Marcinem i ukazać go nam jako buntownika, potrafiącego już wówczas kategorycznie przeciwstawić się nauce Kościoła. Należy jednak pamiętać, że sztuka filmowa ma swoje prawa, a delikatne domieszki fikcji nadają akcji tempa, czego nie udało by się dokonać poprzez pokazanie długich dysput teologicznych. Dlatego też film śmiało można polecić widzom, nie przyczyni się on także do spustoszenia świadomości historycznej odbiorców, a może wiele nam powiedzieć o ciekawej postaci, jaką był Marcin Luter.

Na koniec może jeszcze jedno sprostowanie dotyczące napisów końcowych, z których możemy dowiedzieć się, że „Dzisiaj 540 milionów ludzi bierze udział w nabożeństwach według porządku kościelnego ustalonego przez Lutra”. Nie jest to informacja dokładna, bowiem według danych z 2004 roku Światowa Federacja Luterńska liczy 138 Kościołów i 62,3 miliony wiernych.

Głos drugi: Monika Szpakowska

„Luther” z 1993 stanowi reżyserką wizję reformacji Erica Tilla. W postać wielkiego niemieckiego reformatora wcielił się Joseph Fiennes – znany z roli angielskiego dramaturga i aktora w „Zakochanym Szekspirze”. Filmowy bohater, który nie zdążył się zestarzeć, został wyidealizowany, nie tylko zewnętrznie. Poza tytułowym reformatorem na ekranie zabłysło kilka innych postaci, np. książę Fryderyk (Peter Ustinow),

Johann Tetzel (Alfred Molina), Katarzyna von Bora (Claire Cox). Ostatniej z wymienionych postaci poświęcono niestety zbyt mało miejsca – nieproporcjonalnie do jej znaczenia. Nie zaakcentowano właściwie zalet i zasług Katarzyny, dzięki której Luter mógł prowadzić działalność, a jego rodzina spokojnie egzystować w augustyńskim klasztorze, będącym ich domem. Szkoda, iż ta imponująca siłą, samodzielnością i zaradnością kobieta na ekranie pojawia się dopiero 20 minut przed końcem filmu. O dominacji Katarzyny w związku świadczy tylko jedna scena, w której to ona oświadczyła się Marcinowi. Brakuje jednak wzmianek o wzajemnych relacjach małżonków w późniejszym czasie, a były one dość specyficzne. W jednym z listów Marcin pisał: „Nie kocham mojej żony, ale cenię ją” (cyt. za H. Oberman).

Warto zwrócić również uwagę na scenę z podróży zakonnika do Rzymu – wydarzenie kluczowe w życiu Lutra, a w konsekwencji w historii Kościoła. Nachalni kupcy, kuszące nierządnicę, budzący litość żebracy, strudzeni pielgrzymi tworzą przerażający obraz Stolicy Apostolskiej. Wrażenie potęgują uliczne licytacje relikwii, drewniane figurki świętych na każdą okazję, dominikanin, wymachujący ponad głowami gawiedzi, drogą receptą na życie wieczne. Kilka ujęć kamery krzyżujących: „Taki był Kościół katolicki u progu czasów nowożytnych”.

Przebrnięcie przez 120 min filmu, w którym nie zdołano umieścić wszystkich istotnych faktów

z życia wielkiego reformatora, rzut okiem na napisy końcowe, wolna od osobistych emocji – chłodna historyczna synteza – i uzyskujemy nowy kontekst: film częściowo sfinansowany ze środków Niemieckiego Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego...

Głos trzeci: Paweł Szarejko

Film poświęcony losom wielkiego reformatora Kościoła choć został wyprodukowany w Niemczech, został nakręcony po angielsku. Jak się dowiadujemy z napisów końcowych wsparcia finansowego przy realizacji tego projektu udzielił Niemiecki Kościół Ewangelicko-Augsburski. Specjalnie to nie dziwi, trudno bowiem oczekiwać, by film o człowieku odpowiedzialnym za podział Kościoła Powszechnego był realizowany z funduszy np. Bawarskiego Kościoła Katolickiego. Poznajemy więc reformatora w bardzo pozytywnym świetle, ale od razu zaznaczmy, że dość obiektywnym, z niewielkimi odstępstwami od realiów historycznych.

Co zatem widzimy na ekranie? Marcin Luter w drodze do konfliktu z Kościołem rzymskim przeżywa wewnętrzne rozterki i ten element – duchowego rozdarcia i dostrzegania wszelkich konsekwencji swego kroku – jest mocno podkreślony. „Wrogiem” brata Marcina jest niewątpliwie Rzym i wyższe duchowieństwo ze swoimi licznymi nadużyciami. Wydaje się, że to właśnie demoralizacja Kościoła jest głównym czynnikiem sprawczym wystąpienia Lutra 31 października 1517

roku. Symbolem nadużyć kościelnych na ekranie jest Jan Tetzel, postać numer jeden fiskalizmu papieskiego. Został on przez reżysera potraktowany dosyć brutalnie, posiada w filmie osobowość „szarlatana” bezwzględnie wykorzystującego wszelkie chwytby socjotechniki by zapełnić monetami puszkę odpustową.

Lutra poznajemy jako człowieka mocno rozczerowanego stanem Kościoła, dalej mamy już buntownika, tłumacza Biblii na język niemiecki, natomiast trochę na poboczu pozostał Marcin Luter – twórca nowego Kościoła (pominięta została współpraca z Filipem Melanchtonem). W zasadzie, poza sprzeciwem Rzymowi i prymatem Pisma Świętego, całkiem brakuje w filmie szerszej wykładni poglądów Lutra, zupełnie pominięto bardzo jego stosunek do sakramentów czy dogmatów.

Najbardziej uderzająca wydaje się scena sejmiku w Augsburgu (1530 r.) i protest pięciu elektorów oraz przedstawicieli 14 miast. Mamy tu pomieszanie dwóch wydarzeń. Protest bowiem miał miejsce na sejmie w Spirze rok wcześniej, a w Augsburgu przedstawiono 28 artykułów tzw. confessio augustiana. I nie chodzi już nawet o połączenie tych dwóch wydarzeń, ale o sposób, w jaki do świadomości elektorów próbuje przemówić przed sejmem w Augsburgu Marcin Luter (prawdopodobnie nie było takiego spotkania). Roztacza on przed elektorami poświętę jasnej komety, jaką jest ich nowa wiara, a tymczasem istniały o wiele bardziej prozaiczne

czynniki skłaniające do opowiedzenia się za nowym wyznaniem: podporządkowanie Kościoła władzy świeckiej (w praktyce władzy elektorów) oraz sekularyzacja dóbr kościelnych przechodzących na rzecz skarbu książęcego.

Generalnie film ogląda się z przyjemnością, mimo iż w obsadzie nie ma największych hollywoodzkich gwiazd. Bardzo przekonujący w swojej roli jest Joseph Fiennes, grający tytułowego bohatera, i nie przeszkadza fakt, że aktor ten fizycznie daleki jest od wizerunków reformatora znanych z ikonografii. Znakomicie prezentuje się też Sir Peterem Ustinov w roli „zgrzybiałego” Fryderyka z Saksonii.

Bibliografia

- Luther, reż. E. Till (2003)
 Denzler G. Andresen C.: Leksykon historii Kościoła, przeł. A. Lenarczyk i W. Lenarczyk, Warszawa 2005.
 Friedenthal R.: Marcin Luter: jego życie i czasy, przeł. C. Tarnogórski, Warszawa 1991.
 Krasuski J.: Historia Niemiec, Wrocław 1998.
 Le Goff J.: Narodziny czyścica, przeł. K. Kocjan, Warszawa 1997.
 Oberman H., Marcin Luter: człowiek między Bogiem a diabłem, przeł. E. Adamiak, Gdańsk 1996.
 Todd J.M., Marcin Luter, przeł. T. Szafranski, Warszawa 1983.

Źródło ilustracji:

www.luther-der-film.de

Halszka z Ostroga

- bez szansy na miłość?

MARZENA LIEDKE

Solą dziejów bywają niezwykle wydarzenia z życia postaci historycznych, zwłaszcza takie, które stają się tematami utworów literackich, czy pieśni. Obok niebezpiecznych misji, czy bohaterskich czynów na polu walki, odwiecznym ulubionym tematem literackim była i jest miłość. Trzeba przyznać, że wydarzenia wieków nowożytnych w naszej historii nie skąpiły inspiracji, obfitując w różnie zakończone historie miłosne. Pojawia się jednak pytanie, czy zawsze chodziło w nich o to uczucie, czy raczej wypadałoby nazwać znaczną część takich przypadków

szczególnymi relacjami między kobietą a mężczyzną, a zazwyczaj przecież także między większą liczbą osób? Relacjami kształtowanymi przez uwarunkowania społeczne, prawne i obyczajowe epoki. Dzisiaj zawarcie małżeństwa kojarzy się nam najczęściej z miłością dwojga ludzi. Ile tego uczucia miała szansę zaznać przed czterystu laty dziewczyna, będąc zaślubianą aż trzy razy w swoim niezbyt długim życiu?

Proponuję, abyśmy przenieśli się teraz w świat kniazów ruskich, do wieku XVI i przypomnieli sobie, opisywaną wielokrotnie w dziełach wiekoprawnych dramatach,

historię, której główną bohaterką była przedstawicielka rodu Ostrogskich, potężnych kresowych książąt pochodzących od kniazów pińskoturowskich lub, według nowszych badań, halicko-włodzimierskich. Potęgę rodu wzmocnił Konstanty Ostrogski, hetman litewski, pogromca wojsk moskiewskich pod Orszą w 1514 r., który ze związku z Tatianą Holszańską miał syna Ilię, późniejszego starostę braclawskiego i winnickiego, a z drugiego małżeństwa, z Aleksandrą Olełkowiczówną Słucką, Konstantego Wasyla, wojewodę kijowskiego i marszałka ziemi wołyńskiej.

Ilia i Beata

Ilia, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami swego ojca oraz Jurija Mikołajewicza Radziwiłła, miał poślubić Annę Juriewnę. W związku z planowanym mariażem Radziwiłł wystarał się nawet o dyspensę papieską, ponieważ pięcioletnia wówczas Anna pochodziła z rodziny katolickiej, zaś dwunastoletni Ilia był prawosławny. W 1530 r. zmarł hetman Ostrogski („Przeżywszy lat 70 i wygrawszy 63 bitew” - J. Wolff), a w 1536 r. Radziwiłł zażądał od pełnoletniego już Ilia poślubienia córki. Zaplanowany mariaż nie doszedł do skutku, ponieważ niedoszły teść zmienił nagle zdanie i postanowił wydać Annę za Stanisława Gasztołda. W zamian zaproponował kniazowi młodszą córkę, Barbarę, nota bene późniejszą królową. Ilia odmówił jej poślubienia i zrezygnował w ogóle ze spowinowacenia się z Radziwiłłem, choć ten ponownie zdecydował się zaoferować mu rękę starszej córki -

Anny.. Urażony odmową Radziwiłł wszczął przeciwko niemu proces, ale król pod koniec 1537 r. zwolnił Ilię z wszelkich zobowiązań wobec kasztelana wileńskiego. Fakt, że Konstanty Wasyl Ostrogski nie żył już w tym czasie z pewnością ułatwił kniazowi rezygnację z ręki niechcianej Radziwiłłówny. Wkrótce potem Ilia mocno zakochał się w dworze królewskiej, Beacie Kościeleckiej. Wybranka kniazia była córką Andrzeja Kościeleckiego, podskarbiego wielkiego koronnego i Katarzyny Ochstat, zwanej Telniczanką, dawnej kochanki króla Zygmunta I i matki trojga jego dzieci. Beatę wychowywano wraz z córkami królewskimi, dlatego współcześni podejrzewali, że także ona mogła być dzieckiem monarchy. Ilia poślubił ją 3 lutego 1539 r. w czasie uroczystości weselnych królowej Izabeli i Jana Zapoły. Wydaje się, że wybór kniazia podyktowany był uczuciem, jakie żywił do przyszłej żony, niezależnie od jej pozycji na dworze oraz majątku. Mimo ujawnionej później interesowności i wręcz chciwości Beaty, mogło to być całkiem szczęśliwe małżeństwo, Ilia jednak rozchorował się krótko po zawarciu związku - być może na skutek poważnych obrażeń wewnętrznych, jakich doznał spadając z konia w trakcie walki na kopie z Zygmuntem Augustem w czasie swego ślubu - i zmarł jeszcze w sierpniu 1539 r., pozostawiając żonę w ciąży. 19 listopada przyszła na świat Elżbieta, zwana później Halszką, której losy okazały się bodaj najsmutniejszą opisaną historią owego czasu. Jak uważano ojciec jej „gdzieby to był wiedział (...)

wolałby jej być nigdy nie spłodzić” (Archiwum XX. Sanguszków...).

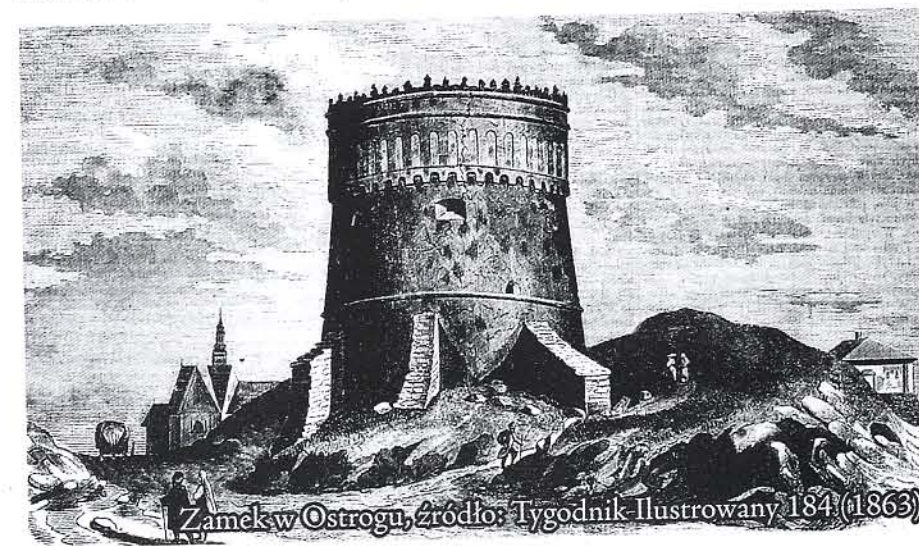
Halszka i Dymitr

Halszka Ostrogska była jedną z najświetniejszych partii w kraju, jedyną dziedziczką ojcowskiej fortuny: rozległych majątków na Ukrainie i Wołyniu. Jej wcześniej owdowała matka niechętnie widziała utratę kontroli nad olbrzymimi dobrami, nad którymi sprawowała opiekę do czasu wydania córki za mąż, dlatego wychowywała Halszkę w bezwzględnej posłuszeństwie i starała się jak najpóźniej wydać ją za mąż. Sama także nie decydowała się na ponowne małżeństwo, ciesząc się ze stanu przymusowej, ale większej niż w przypadku mężatek, swobody. W tym kontekście zrozumiałe są jej wahania co do wyboru kandydata na zięcia. Przyjęła jednak, za namową szwagra - Konstantego Wasyla Ostrogskiego - ofertę Dymitra Sanguszki, potomka rodu spokrewnionego z dynastią panującą - Sanguszkowie bowiem pochodzili od Fedora Olgierdowicza, przyrodniego brata Władysława Jagiełły. Książ, aby zostać zięciem Beaty, sam zerwał umowę matrymonial-

ną z Maryną Połubińską, wnuczką wojewody nowogórskiego i podskarbiego ziemskiego, Iwana Horostaja, chociaż wcześniej, jako przyszłą żonę, oddał ją pod opiekę swej ciotki, Fedory z Sanguszków Bohowitynowiczowej, a także przejął jej „skarby i majątności”. Księżna Beata miała dać obu kniazom swą zgodę na wydanie córki za mąż na piśmie. Później, Stanisław Czarnkowski, pełnomocnik Beaty na sądzie zadwornym w Knyszynie (3 stycznia 1554 r.) przedstawił to jednak w innym świetle: „Przed rokiem pisał książę Dymitr do księżny Jej Mość szerokimi słowy, prosząc o córkę, dom swój wywyższając, pokazując się jej dobrze godnym, powolenstwo swoje obiecując, a jedwabnemi słowy chęć księżny Jej Mość (jako w tej mierze bywa) do siebie garnąc. Księżna Jej Mość krótkimi słowy podziękowawszy, i tę chwałę, którą on sam sobie przywłaszczał, jemu przyznawszy (jako na ten czas inaczej się nie godziło), tę odpowiedź na ostatku dała, którą innym dawać była zwykła, to jest, iż ona córką swą nie władnie, ale Wasza Królewska Mość Pan jej, opiekun, i ojciec”.



Zamek w Ostrogu, źródło: Tygodnik Ilustrowany 184 (1863)



Zamek w Ostrogu, źródło: Tygodnik Ilustrowany 184 (1863)

Domyślamy się, że zgoda została jednak udzielona, ale księżna, łudząc się, że może inny kandydat pozwoli jej na korzystniejsze ułożenie spraw majątkowych, nie spieszyła się z oddaniem czternastoletniej wówczas córki za męża. Spieszyło się za to Dymitrowi, który wobec takiej postawy matki swej wybranki, 6 września 1553 r. z pomocą jej stryja opanował zbrojnie Ostrog i tam poślubił Halszkę. Wobec protestów ze strony Beaty i jej skarg zanieśionych przed oblicze Zygmunta Augusta (którego umierający książę Ilia uczynił zwierzchnim opiekunem swego nienarodzonego jeszcze dziecka) Dymitr zabrał żonę do Kaniowa. Został jednak wezwany na sąd zadworny do Knyszyna, na którym nie stawiał się osobiście, wiedząc, że za zmuszenie do ślubu i porwanie może stracić życie. Ustami występującego w jego imieniu szlachcica Odachowskiego miał dopominać się o przywrócenie sławy i pozostawienie przy nim żony, nawet bez jej majątków. Zapewne wówczas chodziło Dymitrowi już

tylko o ocalenie życia, a nie korzyści materialne. Podczas procesu Sanguszki zaprezentowano dwie sprzeczne relacje dotyczące zajścia w Ostrogu, przedstawione przez pełnomocników księżnej Ostrogskiej i kniazia Dymitra. Mowy oskarżycielska i obrony, jakie znamy z „Dziejów w Koronie Polskiej”, są według Stanisława Burkota fałszyfikatami i ułożone zostały przez Łukasza Górnickiego na wzór wielkich popisów oratorskich znanych w starożytności. Przedrukowano je w edycji źródłowej pozostałości dawnego archiwum sławuckiego Sanguszków („Archiwum XX. Sanguszków w Sławucie”, t. VI). Wydaje się jednak, że niezależnie od formy, jaką nadał im starosta tykociński, mowy oskarżycielska i obrończa musiały być wygłoszone podczas procesu w Knyszynie, a Górnicki znał podstawowy zrzęb wydarzeń. I tak, zgodnie ze świadectwem oskarżyciela, opanowanie zamku w Ostrogu z udziałem wojska, rabunek i morderstwa były niezbitym faktem. W innym świe-

tle przedstawiała postępowanie kniaziów mowa obrończa: „Gwałt kto uczynić chce (...) trzeba iżby silniejszy był, niż ten, komu gwałt stać się ma (...) dlatego w statucie opisano mamy, iż jeden, dwa gwałtu domowi czynić nie mogą (...). Książę Dymitr we trzydziestu koni jechał do księżny Jej Mości z swymi własnymi sługami, nie z żołnierzami Wasza Królewska Mość, nie zbrojnie, ale tak jako chodzi zawsze; bez dział, bez hakownic, bez rusznic, bez pieszych; jechał jako gość, jako sąsiad, jako przyjaciel... Jechał z kniazem Dymitrem książę Jego Mość Wasil, i ten pewnie nie na wojnę, bo nad pięćdziesiąt koni więcej i jednym koniem nie miał; toć wszystko już wojsko kniazia Dymitra. Na Ostrogu zasię, mimo te ludzkie, którzy ustawicznie na Ostrogu mieszkają; mimo urzędniki, dworniki, piesze, dworu samego księżny Jej Mości wychodzi liczba tysięcy koni”. Czarnkowski miał twierdzić dalej, że ślubu udzielił przymuszony duchowny, a za Halszkę odpowiedzi udzielał

jej stryj. Według drugiej strony duchowny za wolą spólną, „za spólną zgodą, która się ze słów księżnej Jej Mości nieprzymuszonych znaczyła, ślub dał (...)”. Po ślubie, już w komnatach, posłuszna do granic rozsądku matce czternastoletnia kniaziówna, zgodnie ze słowami Czarnkowskiego opierała się swemu mężowi tak skutecznie, że ten zmuszony był zawołać sługi „przy oczu których jako się pastwił nad księżną, poddaną Waszej Królewskiej Mości ubogą sierotą (...) uszy święte Waszej Królewskiej Mości nie dopuszczają mi wypowiedzieć. Nie tylko z pocziwą żoną, żaden cnotliwy małżonek tak się nie obchodzi, ale ani z ową, która wstyd zaprzedała”. Czarnkowski zwracając się do kniazia Wasyla Ostrogskiego wyrzucał mu: „I mógłżeś zdrowym okiem na to patrzeć, gdy synowica twoja tak wiele łez wylewała? Mógłżeś to wycierpieć, a nie wezdrgnąć się, gdyś słyszał wrzask jej w komnacie, a wiedziałeś, iż nie sam tylko Dymitr był z nią w łóżnicy?”.

Z kolei Odachowski utrzymywał, że ślubowi opierała się tylko księżna matka, tylko ona mdlała, „łajała, przeklinała”, wykazując „większą chciwość ku majątności córki swej, niż miłość ku jej osobie (...), ponieważ smaczna to rzecz rządzić, rozkazywać, dzierżyć miasta, wsie, włości”. Reprezentant kniazia ripostował: „I toć to boli księżnę Jej Mość, nie to, iż uczciwy człowiek, godny sługa Waszej Królewskiej Mości i wszystkiej Rzeczypospolitej pojął jej córkę, ale gdy o tę majątność biedną idzie, o ziemię, której nie wiele nam będzie trzeba, gdy pomrzemy(...)”. W imieniu kniazia

zapewniał też, że „łatwiej ścierpi Jego Mość książę Dymitr bydlę bez niej [bez ziemi, bez majątków Halszki - przyp. M. L.]; niechaj księżna Jej Mość dzierży miasta, wsie, włości, folwarki, i wszystkie grunty, żonę tylko kniaziowi Dymitrowi urządnie, podług Boskiego i przyrodzonego prawa z nim złączoną, niechaj ostawi”. I dalej twierdził, że Halszka darzy Dymitra miłością.

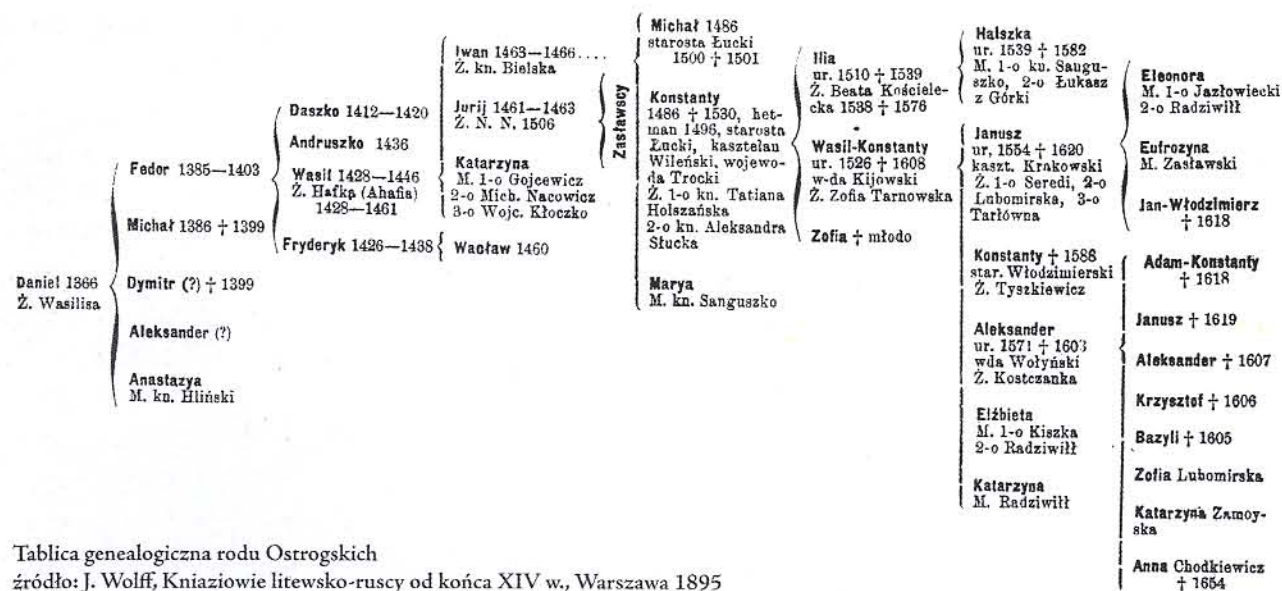
Wdowa po Dymitrze

Mimo takiego świadectwa, książę został skazany na utratę czci i gardła. Na surowość wyroku miał wpływ kontekst polityczny. Obawiano się wpływów w Wielkim Księstwie Litewskim teścia Konstantego Wasyla Ostrogskiego, hetmana Jana Tarnowskiego. Ponadto na wyeliminowaniu Sanguszki z gry zależało rodowi Zborowskich, którzy także zamierzali spowinowacić się z potężnymi kniaziami z Wołynia. Poza tym sprawa rozstrzygała się w senacie, gdzie przewagę mieli wówczas senatorowie koronni. Choć panowie z Wielkiego Księstwa Litewskiego prosili nawet, by dać Dymitrowi szansę, to na próżno, gdyż król wydawał się być do niego uprzedzony. Aby ocalić życie, Dymitr musiał więc uciekać. Zabrał ze sobą żonę, przebrał ją za pachołka i udał się w stronę Czech, do zamku raudnickiego, który był własnością Tarnowskiego. Oczywiście, natychmiast zorganizowano pogoń, składającą się ze Zborowskich, Kościeleckich, oraz Górków, krewnych Kościeleckich. Dymitra dopadli pod Jaromierzem, w miasteczku Lysy, Zborowscy. Znęcano się nad nim, według relacji mieszkańców

miasteczka, książę był „raněn v hlavu až mu krev tekla, a nazad měl velkou ranu, z kteréž mu také krev tekla”. Potem „naheho, v palenících do světnice přivedli, pak ho na vůz ukopali řetězy, jeli s nim do Nymburka”. W końcu książę zmarł. Halszkę odwieziono do zaborczej matki, ponoć wraz z głową Dymitra. Księżna matka mogła przekonać się dobitnie, że tak niechciany zięć już nie żyje.

Wdowa po Semenie Słuckim

Trudno było mieć złudzenia, że konkurenci zapomną o tak dobrej partii, ale mimo wcześniejszych, przykrych doświadczeń Beata nie zamierzała zgodzić się na małżeństwo córki, którego teraz zażądał król. Zygmunt August zdecydował się bowiem wydać Elżbietę za Łukasza z Górki, wojewodę łeczyckiego, choć poprzednio nie chciał, by jej olbrzymi majątek przeszedł w ręce panów koronnych. Mimo oporu Beaty, która wcześniej przecież uznała króla za opiekuna mającego decydujący głos w sprawie małżeństwa córki, doszło w Warszawie do ceremonii ślubnej Halszki i Łukasza. Przy czym związku nie zdążono skonsumentować, a Beatę poparła skonfliktowana z synem królowa Bona. Po wyjeździe protektorki z kraju, księżna musiała ukryć córkę. Wywiozła ją do Lwowa, do klasztoru dominikanów i tam zrealizowała ułożony przez siebie plan matrymonialny. Doprowadziła do ślubu Halszki z kniazem Semenem Słuckim, który zobowiązał się do pozostawienia majątków żony w dożywotnim posiadaniu Beaty. Małżeństwo to ponoć zostało na-



wet skonsumowane. Król jednak nadal żądał wydania Halszki Górcze, co ostatecznie uczyniono, a księżna matka wraz z wybranym przez siebie zięciem, po pobycie w Krakowie, schroniła się w Kraśniku u Tęczyńskich. Wobec rychłej śmierci Słuckiego (1560 r.) pozostała jednak bez naturalnego sojusznika w walce o „szczęście” córki. Zdecydowała się więc na poślubienie o 21 lat młodszego od siebie Olbrachta Łaskiego, wojewodę sieradzkiego, któremu natychmiast zapisała posiadane dobra, by nie dostały się Łukaszowi Górcze. I wówczas, niespodziewanie dla niej samej, została wyeliminowana z dalszej gry o córkę i posiadłości. Młody mąż, wsiedłszy w posiadanie jej majątku, osadził Beatę w Kieżmarku, gdzie niemal do końca życia była więźniem, mimo, że czyniono starania o jej uwolnienie.

Wdowa po Łukaszu z Górki

Natomiast w końcu oddana Górcze Halszka, konsekwentnie odmawiała pożycia z nim i przebywała sama na zamku w Szamotułach, gdzie do dziś z jedną z wież zamkowych związana jest legenda czarnej księżniczki. Dosyć prędko jednak owdowiała, bowiem Łukasz Górka zmarł już w 1573 r. Wydawałoby się, że mimo tylu przeżyć, zdoła wówczas w końcu sama zdecydować o swoim losie, ponieważ w ówczesnym świecie wśród kobiet niezależne mogły być jedynie wdowy. Była jeszcze stosunkowo młoda, odizolowana matka nie miała już na nią wpływu, więc 34-letnia kniaziówna snuła plany poślubienia Jana Ostroga. Tu jednak wmieszał się jej stryj, Konstanty Wasyl, który pro-

wadził walkę o odzyskanie z rąk Łaskiego majątności Ilii Ostrogskiego i uniemożliwił sfinalizowanie tego małżeństwa. Na skutek wszystkich tych przeżyć kniaziówna pogrążyła się w depresji i zmarła w 1582 r. w wieku 43 lat.

Rola małżeństwa magnackiego w dobie wczesnonowożytnej

Dzieje Halszki z Ostroga stanowią jaskrawy przykład sytuacji, które zdarzały się częściej, choć zapewne w mniej dramatycznych okolicznościach. Nie mogło być inaczej w czasach, w których małżeństwo traktowano zazwyczaj jako rodzaj umowy finansowej, chociaż „brak badań nad historią rodziny w Wielkim Księstwie Litewskim nie pozwala stwierdzić, czy we wszystkich warstwach małżeństwa były zawierane z myślą o korzyści” (J. Sarcevičienė).

Banalne jest przypominanie o tym, że młode dziewczęta padały ofiarami polityki rodowej uprawianej przez rodziców i stawały się narzędziami służącymi do wzmocnienia prestiżu, czy sytuacji ekonomicznej rodziny. Umowy dotyczące małżeństw dzieci zawierano jeszcze w okresie ich małoletniości, nierzadko w przysłowiowej kołysce. Ich złamanie groziło procesem i poważnymi konsekwencjami finansowymi. W przypadku, kiedy dziecko, zwłaszcza dziewczynka, zostawała sierotą, nie można było jej wydać za mąż bez zezwolenia bliższych krewnych, co dobitnie zaznaczył król Zygmunt August w 1551 r. Podstawą udanego małżeństwa miała być w powszechnej świadomości jednakowa pozycja

społeczna, wspólne interesy, co służyło zapewnieniu odpowiedniej przyszłości potomkom. I widać wyraźnie, że nawet matki, które zazwyczaj przechodziły wcześniej podobną drogę, nie odstępowały od takich praktyk. Może czyniły to, uważając ten model zamążpójścia za rzecz normalną, może udawało im się zapomnieć o łzach, które wylały nad własnym losem w młodości, choć wydaje się, że np. w przypadku Beaty jej zamążpójście nie wyglądało wcale dramatycznie. W tak zawartych małżeństwach mogły pojawiać się cieplejsze uczucia, choć trudno mówić o miłości w dzisiejszym rozumieniu. Jak zauważyła J. Sarcevičienė: „w ówczesnej Europie to uczucie oceniano jako złego doradcę (...), niebezpieczną chorobę umysłową, w najlepszym wypadku nie wywołującą dalekosiężnych skutków (...)”. Takie przypadki, jak małżeństwa zawarte wedle głosu serca (jak np. związek siostry Witolda Ringaile i księcia mazowieckiego Henryka oraz Zygmunta Augusta i Brabary Radziwiłłówny) spotykały się ze szczególnym zainteresowaniem współczesnych.

Kto kochał Halszkę?

Dymitr - Józef Ignacy Kraszewski opisując historię Halszki Ostrogskiej nie podjął się rozstrzygnąć, z jakiego powodu Dymitr naprawdę starał się o kniaziównę: „czy z miłości, czy dla złota (rzecz dotąd nie rozwiązana)”. Nie sposób wykluczyć, że młodziutka dziewczyna wzbudziła w kniaziu uczucie. Trzeba jednak pamiętać, że jednym z argumentów Sanguszki, które miały przekonać jej matkę, był fakt, że

jego dobra przylegały do majątków kniaziówny. Wątpliwości rodzą się też, kiedy uwzględnimy wersję wydarzeń zrelacjonowaną przez Czarnkowskiego. Czy tak zachowuje się kochający mąż w noc poślubną? A może zachowanie to wymusiła konieczność skonsumowania małżeństwa, tak aby łatwo nie dało się go unieważnić?

Semen Słucki - wątpliwe, by miał czas i okazję, aby zakochać się w Halszce. Dokonał transakcji z jej matką, ponieważ należało się spodziewać, że po jej śmierci i tak wzięłby wszystko, co posiadała. Nawet, jeśli Beata wyszłaby ponownie za mąż, od czego były procesy i droga sądowa służąca odzyskaniu majątności należnych Halszce?

Łukasz z Górki - ofiarowywał Halszce uczciwe pożycie małżeńskie, którego kniaziówna nie chciała. Nie wiemy, czy tylko z powodu bezwzględności posłuszeństwa matczynej woli, czy też nie była w stanie poczuć nic do narzuconego przez monarchę męża? A może nie mogła zapomnieć, że dostała się Górcze jako bajecznie bogata dziedziczka w nagrodę za jego wierną służbę Zygmuntowi Augustowi?

Matka - może kochała Halszkę „po swojemu”, ale jej postępowanie pokazuje, że traktowała córkę instrumentalnie, dbając głównie o własną przyszłość. Gwałtowny mariaż z Olbrachtem Łaskim nie wyglądał na przypływ wielkiej, spóźnionej miłości, ale raczej na próbę ocalenia dzierzonych dóbr za wszelką cenę, dzierzonych dóbr. Cena ta okazała się jednak bardzo wysoka.

Stryj - w jego przypadku naprawdę trudno mówić o jakimkolwiek cieplejszym uczuciu wobec bratanicy. Nie żywił przecież przyjaźni dla jej chciwej matki, ponieważ po śmierci Ilii to ona przejęła „opiekę” nad dobrami małoletniego szwagra, o które ten toczył z nią później spory. Kiedy Halszka doszła do lat sprawnych, wykorzystał swoją pozycję najbliższego krewnego, stryja i opiekuna, wybierając jej na męża zaprzyjaźnionego kniazia. A może pamiętliwy kniaź w ten sposób dokonał zemsty na Beacie z Kościeleckich?

Ani razu nie będąc tak naprawdę żoną, Halszka trzy razy zostawała wdową. Wielki majątek nie przyniósł jej szczęścia, trudno też powiedzieć, by kochała ją matka. Wcześniej osierocona przez ojca, w nikim tak naprawdę nie znalazła oparcia, nie mogła też korzystać ze swego bogactwa i nie pocieszyłby jej z pewnością fakt, że po latach stała się bohaterką dramatów i dzieł historycznych J. I. Kraszewskiego, A. Przeździeckiego, J. Szujskiego, J. Wojciechowskiego, J. Caro, czy A. N. Nakęskiego. Padła ofiarą małżeńskich obyczajów epoki, odziedziczonego po ojcu wielkiego majątku i chciwości swej matki.

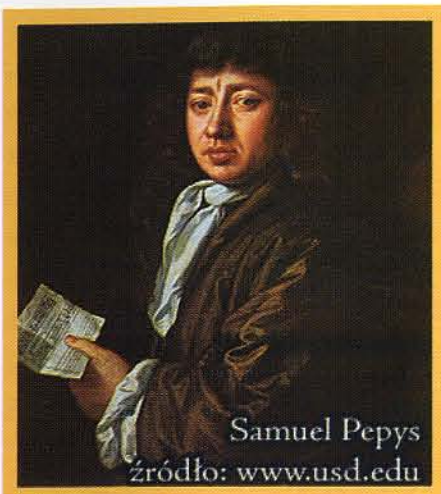
Bibliografia:

Źródła:

Archiwum XX. Sanguszków w Sławucie, t. VI, wyd. E. Gorczak, Lwów 1910;
Ł. Górnicki, Dzieje w Koronie Polskiej, opr. H. Barycz, Warszawa 2003

Literatura:

J. I. Kraszewski, Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy, wstęp i przygot do druku S. Burkot, Warszawa 1985;
S. Lazutka, I. Valikonite, Imuše-stvennoe položenie ženščiny (materi, żeny, dočeri, sestry) privilehiovannoho soslovija po I Litovskomu Statutu, „Lietuvos TSR aukštųjų mokyklų mokslo darbai. Istorija”, 16 (2), 1976;
M. Machynia, Sanguszko (Sanguszkowicz) Dymitr, Polski Słownik Biograficzny, t. 34, Wrocław - Warszawa - Kraków 1992, s. 471 - 473;
Obyczaje w Polsce. Od średniowiecza do czasów współczesnych, red. A. Chwalba, Warszawa 2004;
A. Przeździecki, Jagiellonki polskie w XVI wieku, t. II, Kraków 1868;
J. Sarcevičienė, Kobieta, w: Kultura Wielkiego Księstwa Litewskiego. Analizy i obrazy, opr. V. Ališauskas i inni, Kraków 2006;
J. Wolff, Kniaziowie litewsko - ruscy od końca XIV wieku, Warszawa 1895;
R. Żelewski, Górkowa Elżbieta, PSB, t. 8, Wrocław - Kraków - Warszawa 1959 - 1960, s. 424 - 426;
Tegoż, Łaska I.v. Ostrogska z Kościeleckich Beata, Polski Słownik Biograficzny, t. 18, Warszawa - Kraków - Gdańsk 1973, s. 222 - 223;
Tegoż, Ostrogska Ilija (Eliasz), Polski Słownik Biograficzny, t. 24, Wrocław - Warszawa - Kraków - Gdańsk 1979, s. 480 - 481.



Samuel Pepys
źródło: www.usd.edu

Samuel Pepys znany jest polskiemu czytelnikowi jako autor słynnego szyfrowanego dziennika, cytowanego między innymi przy okazji omawiania londyńskiej Wielkiej Zarazy w 1665 r. i Wielkiego Pożaru Londynu rok później. Wielotomowe dzieło Pepysa jest jednym z najbogatszych źródeł naszej wiedzy o życiu w siedemnastowiecznej stolicy Anglii, począwszy od codziennych domowych rytuałów, poprzez sprawy higieny, diety, ubioru, pracy, aż po zakupy, rozrywki i choroby. Jeden z ciekawszych wątków w dzienniku Pepysa dotyczy miłości, pożądania i seksu, zarówno w małżeństwie jak i, a może przede wszystkim, poza nim. Wczytując się w historię życia erotycznego Samuela Pepysa, odnajdujemy na kartach dziennika obraz człowieka pełnego wewnętrznych konfliktów, miotającego się między namiętnością a poczuciem przyzwoitości, człowieka wplątanego w sytuacje pełne seksualnych podtekstów, w których często nie było wcale oczywiste, kto był stroną wykorzystującą, a kto wykorzystywaną.

Usprawiedliwienia dla bujnego życia pozamałżeńskiego Samuela Pepysa szuka się nieraz w problemach natury intymnej, z jakimi Pepys i jego żona zmagali się przez cały okres trwania ich związku. Samuel Pepys był mężczyzną żonatym od dwudziestego drugiego roku życia. Jego wybranką była Elżbieta St. Michel, kokieteryjna Francuzka, do której Samuel zapalał namiętnością tak intensywną, że nazwał swój stan chorobą, a jedynym lekarstwem na nią miało być pojęcie dziewczyny za żonę, i to bez względu na fakt, że nie wnosila do związku żadnego posagu. Małżeństwo państwa Pepysów trwało czternaście lat, do śmierci Elżbiety w 1669 r. Z pozostawionych przez Samuela notatek wynika, że mimo, iż w ich związku nie brakowało wściekłych kłótni, którym nieraz towarzyszyły rękoczynny, Pepys kochał swą żonę na swój oryginalny sposób. Była to miłość zaborcza i zazdrośna, podsycana dumą z jej publicznie podziwianej urody i umacniana wspólnymi zakupami, wizytami i lekturą.

Samuela Pepysa skoki w bok, czyli o miłości małżeńskiej na próbę wystawionej

DOROTA GUZOWSKA

Uważa się jednak, że to raczej nie kłótlive usposobienie i kapryśny charakter Elżbiety wypchnęły Samuela z małżeńskiego łóża w objęciu innych kobiet. Od samego początku małżeństwa Elżbieta cierpiała z powodu dokuczliwego bólu w intymnych okolicach ciała. Z zapisek jej męża dowiadujemy się o bolesnych miesiączkach, a także zbliżeniach, które były dla niej tak dotkliwe i nieprzyjemne, że w pewnych okresach małżonkowie zupełnie rezygnowali z intymnego kontaktu. Najbardziej prawdopodobną przyczyną opisanych dolegliwości była endometrioza, choroba w siedemnastym wieku nieuleczalna, a i dziś bardzo trudna do zdiagnozowania. W okresach, kiedy stan zdrowia Elżbiety nieco się poprawiał, życie seksualne państwa Pepysów stawało się bardziej intensywne i regularne. Nie zaspokajało to chyba jednak ogromnego apetytu Samuela Pepysa i być może stąd jego liczne przygody pozamałżeńskie, którymi próbował rekompensować niedostatki w pożyciu z Elżbietą.

Mateusz Bielski Z pamiętników Łotra

26 Czerwca Anno Domini 1753

Dwóch mężczyzn wkroczyło w korytarz pogrążony w mroku. Jeden z nich westchnął. Drugi zaś mruknął:

— By w tak wspaniałym domostwie swego nosa po ciemnicy szukać. To się w mej zmęczonej głowie nie mieści — i pokręciwszy ciężą głowę, ruszył ku pokojom. Jego towarzysz poszedł w jego ślady. Obaj byli zbyt zmęczeni, by wołać służbę.

Nagle coś zaszeleściło w cieniu naprzeciw nich. Niewidoczne w słabym świetle z pozostawionego w tyle korytarza. W jednej chwili równocześnie dało się słyszeć zaciekawione mruknięcie jednego z mężczyzn, odbezpieczenie kurka i trzask. Potem był już tylko rozbłyśnięcie iskry w ciemnościach i huk wystrzału. I brzęk zdobnych sreber, gdy ludzkie ciało upadło bezwładnie na komódkę, chwilę zaś później z miękkim stuknięciem osunęło się na dywan.

23 Czerwca Anno Domini 1753

— Podobna mi się tu. Przyjemne oku widoki i taki dziwny spokój, błogo ogarniający myśli — stwierdziłem, opierając się na łęku siodła i rozglądając wokół.

— Może i pięknie — ziewnął Franciszek, przecierając oczy — ale parki miałem i w stolicy. Tymczasem tutaj dobre rozrywki będą musiały zostać wyjęte z jadłospisu.

— To, mój drogi, jest las — odrzekłem. — Różni się od parku mniej więcej tym, czym magnat od szlachetki bez ziemi. I tym jeszcze, że miast gzących się par, mógłbyś upolować tu dziką, wilka, czy nawet niedźwiedzia. Gdyby, oczywiście, twoje oko nie skapcało zupełnie od gapienia się tylko w koronki, zapięcia gorsetów i kryształowe kielichy. Choć pewnie i tak nie odnalazłbyś różnicy.

— Między kryształem kielicha a gorsetem? — uśmiechnął się mój rozmówca.

— Zapewniam cię, że różnice są ko—lo—sal—ne. Powinieneś kiedyś sam sprawdzić.

— Chodziło mi raczej o różnicę między niedźwiedziem a właściwą kielką gorsetu. Twa porażka nie zdziwiłaby mnie nawet specjalnie. Umysł masz już tak wypłukany winem i bezsensownymi plotkami, że jedyny pożytek, jaki możesz z niego uczynić to wykorzystać wolną przestrzeń.

— Nie wytykaj mi Emila, zwłaszcza żeś sam skapcał przy tym moim boku, który tak nieciekawie poniewierasz słowami. Nie rozróżniłbyś borsuka od wilka, nie mówiąc już o trafieniu go. Spójrzmy prawdzie w oczy — jedyne, co mógłbyś teraz upolować, to martwą muchę.

— Cóż, twoje za to możliwości kończą się na mało ruchawych dewotkach.

Wypuchliśmy śmiechem.

I spojrzaliśmy na nas — dwóch szlachetnie urodzonych, młodych jeszcze ludzi, których nazwiska nigdzie nie wślawiły się aż tak, by je wspominać. Lub prędzej dlatego, iż przy każdej wojnie, intrydze, przewrocie, spisku i tajemnicy, w których braliśmy udział, dobieraliśmy sobie inne. Kiedyś wierzyliśmy w ideały, szlachetne cele, honor

i dane słowo. Chcieliśmy podpisywać się dumnie swą godnością pod każdym wzniosłym czynem. Prawdziwe oblicze świata przyniosło nam gorzki koniec naszych nadziei i naiwnego spojrzenia, ukazując, że dobro państwa, patriotyzm i inne puste słowa są zależne od chwilowych interesów rządzących.

Dostosowaliśmy się więc do czasów, w których żyliśmy. Niesamowite zdolności mego przyjaciela w korzystaniu ze swego umysłu, jego fortele, koncepty i wnioski przyniosły nam pewne beneficja i znajomości, wywiodły nas też z niejednych opałów. A przy tych, w które nas wprowadziły, przydawało się moje wojskowe doświadczenie, pewna ręka i celne oko. Tworzyliśmy więc prawie doskonały duet, który daleki był od porzucenia formy, choć wcale nie wolny od typowych dla kawalerów przywar.

— Powiedz mi lepiej, co dokładnie jest naszym celem. Do czego zobowiązała cię Maria Teresa. Nie chcę nawet wiedzieć, jakimi drogami?

— Ma swoje sposoby. Niemniej — czy pamiętasz mężczyznę, który pomógł nam przy odszukaniu prawdziwego testamentu Morsztyna, a potem, gdy rozwiązywaliśmy problem Benedykta? Otóż, mężczyzna ten zmarł ostatnio śmiercią naturalną. Sztylet w sercu naturalnie powoduje śmierć, jak wiemy. Dowiedziałem się jednak, że miał on swojego informatora, od którego pochodziły wszystkie jaskółki. Dzięki nim, nie przesadzę, uszliśmy z życiem. Szukamy teraz właśnie owego człowieka — zamilkł na chwilę. — No, przynajmniej również, że miałem nadzieję zawitać w cieszącym się coraz większą sławą pałacu wojewody krakowskiego Jana Branickiego.

— Rok temu otrzymał buławę hetmana wielkiego koronnego. Myślisz, że nas ugości?

— Gości plejadę szlachty i całe mrowie szlachetek, które uczepiły się skraju jego szaty, czekając na najmniejszy znak, by zaszcześcić i fiknąć koziołka. Czasem zaklaskać uszami.

Roześmiałem się, przyjaciel mój zaś kontynuował.

— Cały circus zbierze się na przyszłych uroczystościach, trzy dni po Bożym Ciele, na świętego Jana. Wszystkim pisana będzie przednia zabawa i ugoszczenie. Nas jednak przyjmie chętniej i godziwiej.

— Dwadzieścia czwarty. To już jutro. A przyjmie nas tak wspaniale na mocy czego?

— Tego — odpowiedział Franciszek, szperając chwilę w polach płaszcza i wyjmując z małej sakiewki przedmiot, którego nie widziałem od przeszło dwóch lat.

— Twój sygnet rodowy?

Przytaknął, zamysliwszy się chwilę nad pierścieniem trzymany w dłoni. Westchnął prawie niezauważalnie i jął objaśniać.

— Dwadzieścia lat temu, gdyśmy przyjacielu zaczęli już bardziej poważnie traktować lekcje fechtunku, mieć oczy szerzej otwarte zarówno na politykę jak i kształty niewieście, ojciec mój gościł w Kamieńcu. Nasz ukochany hetman, wówczas generał artylerii, również zażywał tam odpoczynku, tyle że za kratami konfederatów dzikowskich. Rodzic mój przekazał mu wiadomość o zbliżających się wojskach rosyjskich, które szły w sukurs Grubemu Augustowi. Pan Branicki wytrwał więc w wierności do saskiego króla, potem zaś, że tak to ujmę, spił śmietankę. Teraz zatem żywię nadzieję, iż zapamiętał herb mego ojca i honor nie pozwoli mu pozostawić nas bez należytych wygód.

Odwzajemniłem jego uśmiech. Coś jednak dręczyło mnie jeszcze.
— Co ojciec twój robił w Kamieńcu?
— Negocjował z panem Tarło cenę starych listów Leszczyńskiego do Szwedów — odpowiedział ze spokojem, nie zmieniając wyrazu twarzy. Kiwnąłem głową, by po chwili otworzyć szeroko oczy.
— Tych samych listów, które mieliśmy odnaleźć na zlecenie...? Gdy przytaknął, wciągnąłem głęboko powietrze.
— To stąd wiedziałeś, gdzie ich szukać!
— Tłumaczyłem ci już — odpowiadał niby znużony.
— To wszystko kwestia sprytu, pomysłu i...
— Szczęścia — dokończyłem. — Dobrze, że choć tobie dopisuje. Mnie stara się omijać.
— Boś cały jego zapas zużył na spotkanie mnie! — odparł radośnie.

— Cały zapas nieszczęścia również — mruknąłem. — I co mi z tego przyszło?
— Więcej kobiet niż blizn — odrzekł po chwili. — I wspaniała uczta jutro wieczór!

Opuściliśmy gęstwinę lasu. Skąpane w przedpołudniowym słońcu alejki zasadzone młodymi lipami doprowadziły nas do miasteczka. Rynek był dziwnego, nieregularnego raczej kształtu, od wschodu zastawiony kramami kupieckimi, w większej części należącymi do Żydów. Nad wszystkim górowała główna część budowanego właśnie ratusza, wyniosła wieża zwieńczona dzwonnica.

Niedaleko gromadził się tłum gawiedzi. W samym środku, gdyśmy podjechali bliżej, oczom naszym ukazał się mężczyzna smagany rzemieniem przez dwóch rosyłych oprawców. Przyjaciół mój pochylił się w siodle i zapytał stojącego obok mieszczanina o to zajęcie.

— Kradł, panie. Normalno, to by go wzięli, skóre przetrzepili i przegnali. Ale ten to z pałacu kradł. To mu nie daruj. Się kładziemy, czy wytrzyma druga kolej.

— A, co gadasz kiej — wtrącił drugi. — Czterdzieście lat żyję tutaj i nie widziałem, coby tu kogo specjalnie ukatrupili.

Ludzie zaczęli się sprzeczać. Franciszek westchnął tylko i rzucił ostatnie spojrzenie karanemu mężczyźnie. Skierowaliśmy się w stronę straganów.

— Szukam Abrama Goldbauma.
Młodzieniec w mycie przyjrzał się nam badawczo.
— Stryj zachorzał. Kuruje się w domu.
— Mam do niego ważny interes.
— Wszyscy mają. Tylko intrata zawsze niewielka na sam koniec. Franciszek położył na blacie srebrną monetę.
— Nieskravana.

Chłopak spojrzał na niego, na pieniądź i znów na niego. Moneta z oczywistych względów zwyciężyła i, zbadana zręcznymi palcami, zniknęła w fałdach ubrania młodego kupca.

— Mieszka na Młynowej. Drewniany, jednopiętrowy dom. Trochę na prawo od Bramy Suraskiej.

— Dziękuję.
— I tak odprawi was z niczym.

Otworzył nam chłopiec wyglądający na osiem, może dziesięć wiosen. Pokój zwany gościnnym był niewielki, dosyć osobiście przedzielony i zagospodarowany. Na wystrój składało się mnóstwo szmat, kotar i przesłon, gdzieś tam jakiś kredens, trzy krzesła i stolik. Niezwykłości miejsca dopełniał panujący w pomieszczeniu półmrok. Po kilku minutach oczekiwania Franciszek zwrócił się w mą stronę i z uśmiechem rzekł:

— Kupiec żydowski leży na łożu śmierci. Dookoła stoi grono wiernej rodziny. Kupiec pyta: Słacie, żono, jesteście tu? Jestem mężu. Mosze, synu, a ty jesteś? Jestem tate, jestem. A ty córko, jesteś przy mnie? Jestem tate. Kupiec zrywa się i zdenerwowany pyta: To kto, do kroćset, jest w sklepie??

Parsknąłem zduszonym chichotem, przerwawszy zaraz, gdy od strony kotary oddzielającej następne pomieszczenie usłyszeliśmy prychnię-

cie. W wejściu stał zgarbiony starzec o pokaźnej siwej brodzie, wysokim czole z pajęczyną zmarszczek i lekkim uśmiechem na wysuszonych ustach. Pachniało od niego żelazem, siarką i spirytusem.

— Wyimaginujcie sobie panowie, że chrześcijański chłop i chrześcijański ślachciec skaczą z dachu kościoła na ziemię. Który pierwszy spadnie? — odezwał się chrapliwie.

Franciszek przyjrzał się uważnie staremu kupcowi.

— Nie wiem — powiedział z uśmiechem. Żyd wzruszył ramionami.

— A kogo to obchodzi?

Przyjaciół mój chwilę jeszcze patrzył na niego i wybuchnął gromkim śmiechem.

Ja wykrzywiłem niepewnie wargi. Odetchnąłem cicho, gdy podał starcowi rękę.

— Naród wasz, zaiste, wybranym mógłby być choćby przez dowcip, na którym, jak na mądrości, wam zbywa. Słyszałem mości Goldbaum, żeście podupadli na zdrowiu. Kupiec przytaknął nieznacznie.

— Człek się leczy, jak może. Ale Ickowi to skórę przetrzepiem. Albo i gębę, skoro trzymać zawartej nie umie.

— Wystarczy jak weźmiecie od niego zostawiony przeze mnie drobiazg. Ale może darujecie mu i to, bo wizyta nasza się wam opłaci.

Żyd poprawił mykę, przeczesał brodę sękatymi palcami i usiadł w jednym z foteli,

patrząc na nas spokojnie.

— Starym już jest — stwierdził po chwili. — Przeżyłem wiele.

— I wiele widzieliście — dokończył Franciszek. Mężczyzna westchnął.

— Osiadłem tu, by wygasnąć w spokoju. Żywiłem nadzieję, że zostanie to uszanowane. Jedyne czego chcę, to by mej rodzinie wiodło się dostatnio. Dawne życie zostawiłem za sobą.

— Dwa nazwiska. To wszystko, o co proszę.

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

— Aleć, musieliście zrobić coś dla mnie.

— Słucham z uwagą.

Gdy wyszliśmy, wziąłem głęboki oddech.

— Pismo Święte z biblioteki pałacowej Branickiego? — spytałem bardziej powietrze niżli kogoś konkretnego.

— Sza — uciszył mnie mój kompan. — To wystarczająco skomplikowane, jeśli tylko my o tym wiemy.

— Ale na cóż mu to? — zapytałem już ciszej.

— Któż to wie? Może dawna jakaś niezgoda z hetmanem, może chęć posiadania starego woluminu, może wreszcie niezrozumiała zachcianka schorowanego starca, otumanionego przez opary pędzonej przez siebie akwawity.

— Po co więc dał nam...

— Mówiłem już, że to naród bystry. Gdyby nie ten substytut, jak szybko odkryto by brak książki? Nikomu nie marzy się występ na rynku w charakterze pokazu żywego mięsa.

— Ale akurat to... akurat my...

— Wiesz, kim jest. Słyszał o nas i wie, do czego jesteśmy zdolni. Tak naprawdę to kto, jeśli nie my? Po ostatniej próbie straż pałacowa nie przepuści służących ot, tak. Jedyne szlachta może przenieść coś, czego potrzebuje. A ze szlachty... Cóż, jesteśmy łotrami przyjaciół. Zarówno z imienia jak i przeznaczenia.

— Tak, wiem. Jednak, mimo wszystko...

— Mimo wszystko — przytaknął zamyślony Franciszek.

Dosiedliśmy wierzchowców i odjechaliśmy w stronę Wersalu Podlaśia.

Hetman okazał się człowiekiem średniego wzrostu, umiarkowanej budowy, za to miłej i całkiem przystojnej aparycji. Nośił się po polsku, wydawał się nigdy nie zapominać o manierach

i choć wstrzymałbym się z zaliczeniem go w poczet światłych umysłów naszych czasów, to potrafił zjednać sobie sympatię. Rozpoznawszy herb rodowy mego przyjaciela, przywitał go prawie jak bliskiego kuzyna, rozpytując o ojca, o podróż, o życie i nasze wędrówki wzdłuż i wszerz Europy. Franciszek z absolutnym spokojem wysnuł mu zgrabną historyjkę, która uzasadniała nasz pobyt w tych okolicach, a przy okazji delikatnie ukazywała nas jako patriotów i ludzi dobrej wia-ry. Poprosił również o traktowanie nas na równi ze wszystkimi, nie chcąc budzić ni rozgłosu, ni zawiści.

Branicki rad niezmiernie, że skromnych, a zacnych gości ludzi, z wybiciem południa zabrał nas ze sobą na zwyczajową przejażdżkę po okolicy. Poznaliśmy więc część jego włości, służbę i kilku najbliższych oficerów, z których nazwisk zapamiętałem Szuszkiewicz i Mokronowskiego. Nas zaś przedstawiono młodsiutkiej jego małżonce Izabelli z Poniatowskich. Następnie doglądaliśmy wspólnie przygotowań do mającego nastąpić nazajutrz przyjęcia. W tym czasie Franciszek bacznie przyglądał się służbie, czasem kogoś zaczepił, czasem pochwalił, tu i ówdzie po jego przejściu w czyjejs kieszeni zabrzęczały grosze. Dość, że w godzinę rozniosło się, iż jakiś dobry pan bawi u hetmana. W tłumie służby, która próbowała obserwować nas dyskretnie, wydało mi się, iż widzę chłopca z domu Goldbauma.

Po wspólnym obiedzie, gdzie poznaliśmy jeszcze kilkoro gości, a także siostrzenicę Jana Klemensa — Mariannę Karolinę Lubomirską, gospodarz pożegnał nas i udał się na codzienną drzemkę.

Służący zaprowadził nas do pokoju, w międzyczasie zapytany przez mego towarzysza wyznał, iż kiedyś był żołnierzem, zaś gdy okazało się, że wojaczka już nie dla niego, dobry hetman przyjął go do siebie na służbę. Nie zdziwiło mnie to zbyt, gdyż całe zarządzanie w Wersalu Podlaskim i poza nim prężnością przypominało rygor pruski. Franciszek poufale klepnął służącego po ramieniu i rzucił mu srebrną monetę.

Jak tylko tamten się oddalił, przebrawszy się, ruszyliśmy do biblioteki.

24 Czerwca Anno Domini 1753

Następnego ranka obudziło mnie pukanie. Przekręciłem się na łożku, odrzucając coś pomiędzy „precz” a „środek nocy”, jednak natręt nie dawał za wygraną. Nie do końca przytomny wstałem z łożka, wyjąłem pistolet i otworzyłem drzwi. Brew mego przyjaciela podniosła się trochę wyżej nad wycelowaną w głowę lufę.

— Gotów? Musimy iść zanim całe domostwo wstanie i zacznie świętować. Z werwą kulawego grabarza zebrałem się do wyjścia i jakieś dwa kwadransy później maszerowaliśmy przez uliczki Białegostoku.

Drzwi domu na ulicy Młynowej otworzył nam ten sam mały rozczochrany chłopiec. Stary kupiec przywitał nas ponownie w zaciemnionym pokoju i odebrał książkę, bez słowa kierując się do pomieszczenia za kotarą. Cicho podążaliśmy za nim. Przesunął zasłonę na jednej ze ścian, ukazując nam olbrzymi księgozbiór. Przetastował kilka książek, po czym umieścił Biblię na środkowej półce. Drżącymi palcami przesunął po grzbietach starych woluminów, a z jego ust dobiegło szczęśliwie westchnienie. Rozejrzałem się po pokoju. Poza biblioteczką był tam jeszcze stół, krzesło i olbrzymia aparatura do pędzenia gorzałki, cały czas podgrzewana na palenisku.

Żyd odwrócił się do nas z uśmiechem, który zmienił zupełnie układ jego zmarszczek.

— Za młodzi jeszcze jesteście, by o tym wiedzieć, ale w pewnym wieku niektóre rzeczy mają większą wartość niż inne.

— Zaiste — przytaknął Franciszek. — Dla mnie w tej chwili wartość mają dwa nazwiska.

Kupiec westchnął i lekko pokręcił głową.

— Chłop, gdy opowiesz mu anegdotę, śmieje się trzy razy: po raz pierwszy, gdy ją usłyszysz, po raz drugi, gdy mu ją wyjaśnisz, po raz trzeci, gdy ją zrozumie. Urzędnik śmieje się dwa razy: po raz pierwszy, gdy ją usłyszysz, po raz drugi, gdy mu ją wyjaśnisz, ale nigdy jej nie rozumie.

Ślachciec śmieje się tylko raz — gdy anegdotę usłyszysz.

A choć jej nie rozumie, nie da sobie nic wyjaśnić.

— Żyd słysząc anegdotę przerwie ci w połowie mówiąc: „Sza, sza, to stary żart!” — i opowie ją na swój sposób — odparł mój towarzysz. Wiedziałem jednak, że słów starca nie puścił mimo uszu.

Ten uśmiechnął się tylko smutno, wyjął kawałek pergaminu, skreślił na nim dwa nazwiska, a gdy zapamiętawszy je, przytaknął, podpisał notatkę od świecy i wrzucił do paleniska. Patrzyłem jeszcze chwilę, jak się spopiela, gdy z zamyślenia wyrwał mnie rżący głos kupca:

— Niczego wam nie powiedziałem. Dziękuję za podarek. Odejdźcie teraz w pokój.

Opuściliśmy asylny Goldbauma. Gdy weszliśmy na rynek, Franciszek odetchnął i uśmiechnął się.

— Sprawa listów jest więc już załatwiona. Jedyne czym przez najbliższe dni musimy zaprzątać sobie głowy, to ile wina należy wypić do pieczeni.

W dobrych nastrojach wróciliśmy do pałacu, gdzie właśnie coraz tłumniej zbierali się goście.

Dwudziesty czwarty czerwca roku pańskiego 1753 był hucznym dniem. Po nabożeństwie przyszedł czas na orację i powinszowania. Strzelano

na wiwat. W kryształowych kielichach, którymi raz po raz wznoszono toasty, czerwień wina wydawała się aż iskrzyć z radości. Potraw i trunków starczyłoby dla wszystkich mieszkańców miasta, stoły uginały się pod mnogością talerzy i zastaw. Na jednym z nich ułożono kryształową rynnę, całą wypełnioną znakomitą tokajem, po którym pływała flota miniaturowych okręciaków z łakociami. Przez kanał powoli przesuwawa się za to prawdziwa łódź, na której usadowili się muzycy przygrywający gościom. Noc upływała na tańcach, występach aktorów i śpiewaków. Powietrze wypełniał chichot kobiet i krzyki mężczyzn. Wszystkich w olśniewających strojach.

W którymś momencie pojawił się przy mnie Franciszek i wpatrując się w młodą panią hetmanową, stwierdził po francusku:

— Olśniewająca, czyż nie? Jak kwiat wśród polnych ziół... Spojrzałem na niego, konstatuując, że wino zaszuściło mu w głowie już jakiś czas temu. Teraz odgrywało kocią muzykę. Przytaknąłem i zacząłem odprowadzać go w kierunku najbliższej altany. Z pomocą przyszedł mi jakiś współbiesiadnik, jeden z oficerów przedstawionych poprzedniego dnia.

Usadowiliśmy mego towarzysza na ławeczce, z której zerwał się po kilku minutach i zabierając mnie ze sobą, porwał do dalszej zabawy.

Z tej nocy zapamiętałem jeszcze fragment wiersza, smak ust jakiejś kobiety i rozmowy o kamieniach szlachetnych.

25 Czerwca Anno Domini 1753

Być może istotnie szczęściu zdarzało się od czasu do czasu skrzyżować ze mną drogi. Jednym z takich momentów była z pewnością wspólna wędrówka z pielgrzymującymi mnichami kilka lat temu. Wywar z kory wierzbowej ich receptury w poranki takie jak ten wart był więcej niż wszystkie klejnoty tego świata.

Zwlokłszy się do kuchni pałacowej poprosiłem służących, by przygotowali mi określony napar. W oczekiwaniu na medykament usiadłem przy jednym ze stołów. Ze zwieszoną głową i w nocnym stroju musiałem wyglądać dosyć żałośnie. Być może dlatego nikt nie zwracał na mnie uwagi. Jak przez mgłę dochodziły do mnie rozmowy kuch-

— Słyszeliście? Podobno Jaśnie Pan już od rana na nogach, gotuje wyprawę łowiecką.

— Znów trzeba będzie dziczyznę oprawić.

— Ale przecie, nie aż tyle, ile zwykle po sześciotygodniowych polowaniach.

— O tak, ostatnio przywieźli ze sobą ponad setkę wilczych truchel.

— I pani Marianna Karolina ubiła podobno pół tuzina.

— I opowiadała młodej Pani jakieś straszne szczegóły, choć Panią to brzydzi.

— Ona by chętnie młodą Panią...

Nagle rozległ się brzdęk. To jeden ze służących upuścił na ziemię metalową miednicę. Jęknąłem mimowolnie, przypominając o sobie zebranym kuchtom. Spostrzegłszy mnie, rozpętały mały huragan, w ciągu którego zostałem przeproszony kilkanaście razy, i po kilku minutach obiecali przynieść napar do pokoju. Udałem się zatem do swojej komnaty i zanurzyłem w pościeli, delektując ciszą i spokojem. Ktoś zastukał do drzwi.

— Wejść — wykrztusiłem, otulając poduszką uszy.

— Witaj miły przyjacielu! — zawołał od progu Franciszek. Ja zaś przyznałem w duchu, że szczęście trzymam się go mocno, ponieważ moje pistolety wisiały z pasem po drugiej stronie łóżka.

— Na litość... — jęknąłem.

— Kiedyś miałeś więcej odporności — spojrzał na mnie krytycznie — chyba że próbowałeś tego jadowniczego zielonego... płynu, który stał przy potrawce z duszoną marchewką? Wydałem z siebie kolejny jęk.

— Rozumiem. Czyli nie tylko tego. Nie udasz się zatem z nami na polowanie? Szkoda, trochę ruchu dobrze by ci zrobiło. No cóż, nic nie poradzę. Odpoczywaj więc mój drogi, gdy będę straszył zwierzynę łowną tych okolic. Głowa opadła mi na poduszki, usłyszałem jak mój gość wychodzi, otwiera drzwi i napotkawszy w nich kogoś mówi:

— Nie, nie. Nie przeszkadzać mu. Co tam niesiesz? Co? Z wierzby? A skąd ci coś podobnego przyszło do głowy?...

Drzwi zamknęły się z traskiem. Jęknąłem po raz trzeci.

Wieczorem spotkaliśmy się na kolacji.

Franciszek usiadł obok mnie i streszczył przebieg polowania, które właściwie nie obfitowało w wielkie wydarzenia. Poza jednym małym incydentem.

— A więc wystaw sobie, że siostrzenica i żona hetmana nie pałają do siebie zbyt wielką sympatią — mówił mi szeptem towarzysz, w międzyczasie podgryzając razowca.

— Tak, coś słyszałem... O niechęci Izabelli do polowań i broni palnej również.

— No właśnie. Więc w pewnym momencie łowów zszedłem z konia, by bliżej przyjrzeć się śladom na ziemi. Naraz doszły mnie głosy zza pobliskich krzaków. Podeszedłem więc do czołsi i co słyszę? Kłótnię, mój przyjacielu, zimną, kobiecą kłótnię, od której powinien wokół pojawiać się szron. Co więcej, sprzeczały się o jakiś majątek, cenne kamienie ukryte w skrzyni, czy coś na tę modłę. Nie byłem w stanie usłyszeć, bo wręcz syczały na siebie, ciszej od szeptu. Niemniej, szczegół wart uwagi, nie sądzisz?

Przytaknąłem, pałaszując gulasz i zagryzając chlebem.

Gdy posiłek zbliżał się ku końcowi, usłyszeliśmy podniesione głosy dochodzące z saloniku znajdującego się za ścianą. Po chwili w jadalni pojawiła się Marianna Karolina, a wraz z nią wściekły hetman.

— Cóż się stało, wasza wielmożność? — zapytał siedzący najbliżej szlachcic.

Magnat zacisnął zęby i popatrzył w drugą stronę. Jego siostrzenica powoli, zmęczonym głosem oświadczyła:

— Szmaragdowy Kuferek, niezwykle cenna pamiątka mego wuja, został skradziony.

Wiesć rozniosła się szybko. Franciszek spędził dobre dwa kwadransy rozmawiając sam na sam z hetmanem. Po wyjściu z gabinetu Branickiego oświadczył z uśmiechem:

— Złożyłem obietnicę. Znajdziemy ten drobiazg.

Zerknąłem na niego i przywoławszy do siebie, szepnąłem:

— Musimy coś dostarczyć pewnej pięknej, acz niecierplivej kobiecie.

— Och, daj spokój. Maria Teresa poczeka tych kilka dni — odszepnął pogodnie. — I nie wmówisz mi, żeś gotów przedłożyć strawę przydrożnych karczem nad to, czym się nas tutaj gości.

26 Czerwca Anno Domini 1753

Następnego dnia, mimo niezwykle dopisującej pogody, na włościach dało się wyczuć nerwowość i lekko ponury nastrój. Goście, i owszem, bawili się nadal, z trochę mniejszą jednak pasją i oddaniem, jakby mierzając swe ruchy, statkując słowa i ukradkiem rzucając niespokojne spojrzenia. Z jednym w zasadzie wyjątkiem.

Ku memu niezmiernemu zdumieniu Franciszek przechodził sam siebie. Witał nadobne panie, składał kurtuazyjne pocałunki na każdej niewieściej dłoni, kłaniał się w pas. Ścisnął prawicę kawalerom, mości-panom, szlachcie bogatej i uboższej. Serwował anegdoty, zachęcał do rozmów. Przedstawiał sobie nowo poznanych nieznajomych. Dość, że wzbudził tyleż cichego zgorzienia, co zachwyty, ożywiając jednak znaczną część gości.

Ja tymczasem zabawiałem rozmową młodą córkę jakiegoś rządcy, zapatrzoną we mnie jak w obrazek. Wybrałem dla niej jedną z barwniejszych pozycji z mojej listy życiorysów, jak zwykle jednak nie pomijając udziału w drugiej wojnie o Śląsk i kampanii o sukcesję w Austrii, w których walczyłem w istocie. I jak zwykle nie wspominając, po której stronie.

W chwili, kiedy dochodził do punktu kulminacji mojej opowieści, gdy raniom ciężko padał na ziemię zasłaniając towarzysza, Franciszek pojawił się przy naszej altanie z widocznym zamiarem przyłączenia się do towarzystwa. Młódka splonila się jeszcze bardziej, gdy się jej przedstawiał, całując biel dłoni i nie spuszczać wzroku z jej błękitnych oczu. Chwilę później zawołana przez kogoś wymknęła się, żegnając niezręcznie. Przyjaciół zajęli miejsce obok mnie i razem obserwowaliśmy towarzystwo rozproszone po parku.

— Cóż więc porabiasz mon ami? — usłyszałem po kilku minutach ciszy.

— Bawię się setnie — odparłem obruszony — zupełnie jak i ty.

Uśmiechnął się, rozbawiony.

— No już, Emilu. Nie chmurz się. Przecież nie czyniłem ci wyrzutów. Masz całkowitą słuszność — bawię się setnie. Bawi mnie to, że flirtujący z tamtą damą kasztelan ma rogi szerokości ramion, aż dziwi, że to nie na niego hetman zarządza polowania. Bawi mnie, że oficer Haksa w przepięknym galowym stroju, którego widzisz tam — przy brzegu stawu, nie wie, jak prawidłowo ładuje się działa, co tam, nie wie nawet, jakiego prochu należy używać. Bawi mnie, że memu kompanowi zebrało się na czarowanie młodych gąsek, które potrafią rumienić się i ploszyć na zawołanie, ale gdy się zapomną poznasz po sposobie ich siedzenia, że rumieniec jej ciała jest nieobcy niejednemu oficerowi. Bawi mnie jeszcze tuzin innych postaci. Spójrz choćby na tamtego mężczyznę o wysokim czole i niebieskich oczach. Oficer Mokronowski najwyraźniej szuka kogoś pośród gości.

Obrażony postanowiłem zignorować mojego rozmówcę, którego mimo ogromnej przyjaźni miewałem całkiem regularną (choć nieczęstą) chęć uśmiercić. Zauważywszy to, szturchnął mnie poufale pod bok i uśmiechnął jeszcze szerzej.

— Och, wybac mi wreszcie. Dobrze, zatem skupmy się na czymś przyjemniejszym. Spójrz tam. Czy coś w tej kobiecie odzianej w beże nie wydaje ci się intrygujące?

— Nie wiem. Nie ma zjawiskowej urody. Jest raczej przeciętna. Dostę dobrze zbudowana, choć nie fenomenalna. Przesadziła z pudrem, o ile moje żołnierskie oko mogłoby to osądzić — stwierdziłem po chwili wahania.

— Ech, ale ja nie o tym... — Franciszek przykrył twarz dłonią, ale po chwili spojrzał na mnie w zdumieniu.

— Ależ oczywiście! Emilu, twój geniusz bije moją percepcję na głowę — lub dwie.

Zerwał się z miejsca, nim zdążyłem o cokolwiek zapytać. Już maszerował rażno w stronę pałacu, gdy przystanął, odwrócił się i z uśmiechem rzekł jeszcze:

— A z tą dzierlatką... Żartowałem tylko.

Uchyliwszy się zręcznie od nadlatującego kielicha, żywym krokiem podążył przez ogród.

Ja tymczasem zainteresowałem się kobietą wskazaną mi przez Franciszka. Dziękując losowi za gadatliwość szlachty i memu towarzyszowi za jej sprowokowanie, dowiedziałem się kilku intrygujących rzeczy. Wraz z bratem, jakimś mało znaczącym szlachetką, przybyli do Białego-stoku dwa dni przed nami. Braciszek zachorzał poważnie już następnego ranka i od tamtej pory zajmuje pokój w austerii „Pod Łabę-dziem”, gdzie raz odwiedził go medyk.

Nie trzeba było umysłu mego przyjaciela, by skonstatować, iż coś nie jest tu do końca w porządku. Ruszyłem więc na rynek, przy którym ulokowany był zajazd. Nim jednak opuściłem teren pałacu, z gracją drogę przekroczył mi nikt inny, jak właśnie kobieta, nad której historią spędziłem przedpołudnie.

— Witaj panie, pogoda dopisała hetmanowi w dniu imienin, prawda?

— Pani — skłoniłem się. — W rzeczy samej. Słyszałem nadto, iż w tych okolicach na Boże Ciało zawsze wychodzi słońce. To dobra wróżba.

— Wierzy pan we wróżby? — zapytała, przysuwając się nieco i zapraszając gestem do wspólnej przechadzki. Rad nierać podałem jej ramię i skierowaliśmy się ponownie w stronę ogrodu.

— Wierzę w to, co ludzie widzą — odpowiedziałem, a zreflektowawszy się, po chwili dodałem:

— No i w Boga.

Roześmiała się delikatnie.

— Ależ Boga można zobaczyć — dostrzegła mą zdziwioną minę. — Te drzewa, krzewy, ptaki, które umilają nam spacer swoim śpiewem. To wszystko On, jego dary dla nas. Uśmiechnąłem się lekko drwiąco.

— A więc wierzy pan w to, co ludzie widzą — mówiła dalej, nie patrząc na mnie. — A w to, co ludzie mówią?

— Nie odpowiedziałem. Wtedy zatrzymała się, odwróciła w moją stronę i rzekła:

— Rozpytywałeś panie o mnie. A przecież, gdybyś chciał się czegoś dowiedzieć, mogłeś zapytać wprost. Co więc cię tak we mnie intryguje, kawalerze?

Lata temu, nim poznałem Franciszka, straciłbym głowę w podobnej sytuacji. Myśli odmówiłyby posłuszeństwa, a co dopiero język. Zostałem jednak przyjacielem jednego z najbystrzejszych umysłów naszego pokolenia, wyrobiłem dowcip w surowych warunkach.

— Mówi się, że aby poznać całą prawdę o kobiecie, należy usłyszeć wszystkie jej kłamstwa — odparłem z uśmiechem. Zmrużyła lekko oczy, ja zaś dostrzegłem zbliżającą się do nas grupkę gości i postanowiłem to wykorzystać. — A więc będziesz pani łaskawa poświęcić mi ułamek dzisiejszego wieczoru i opowiedzieć coś o sobie. Teraz jednak proszę o wybaczenie, gdyż mój kompan oczekuje mnie na rynku, muszę więc pożegnać cię pani — skłamałem, nie przestając się uśmiechać. — Dziękuję za uroczy spacer — dodałem, składając ukłon, i nie uchybiając manierom, oddaliłem się, zostawiając kobietę towarzystwu nadchodzących współbiesiadników.

Spiesząc do centrum miasteczka, natknąłem się jeszcze na młodą pannę od rumieńców, idącą pod rękę z jakimś wysokim, siwiejącym mężczyzną. Skłoniłem się im i ruszyłem w swoim kierunku, próbując przegnać z głowy uparcie wracający drwiący głos Franciszka.

Dotarłem zaledwie w okolice kościoła, gdy właściciel tego głosu syknął z jednego z zaułków, zwracając mą uwagę i przywołując do siebie.

— Witaj ponownie — rzekłem. — Podczas kiedy ty urządzasz sobie przechadzki, ja staram się dowiedzieć czegoś o nietypowych okolicznościach pobytu niektórych z gości.

— Wspaniale — odparł mój przyjaciel, patrząc ponad mým ramieniem. — Będziesz musiał jednak wstrzymać się na chwilę ze swoim śledztwem.

— Ale... — zacząłem, odwracając się, lecz nie dostrzegając niczego nietypowego lub choćby interesującego.



— Proszę — przerwał. — Poczulem nagle ogromną potrzebę ukojenia myśli w świętym miejscu — i pociągnął mnie za rękaw szaty do białego kościołka na wzniesieniu.

Ciemne wnętrze przyjęło nas przyjemnym chłodem — ucieczką od czerwcowych upałów. Wewnątrz świątyni, przy ołtarzu, klęczała dwójka ludzi, prawdopodobnie gości hetmana, sądząc po strojach. Zdawało mi się, że gdyśmy weszli, odwrócenie byli do siebie. Przyjrzaawszy się jednak uważnie, dostrzegłem, że pogrążeni są w głębokich modłach. Nie skorzystawszy ze święconej wody, pokloniłem się tylko przed ołtarzem. Franciszek zaś przeżegnał się z uśmiechem i po krótkiej chwili opuściliśmy świątynię.

— I już? Wielkie katharsis trwające krócej niż zmagania się Ojciec Nasz?

— Doznałem potrzebnego objawienia, jeśli o to pytasz — odparł wesoło. — Chodź, zbliża się pora kolacji, musimy zwrócić hetmanowi jego zgubę. No, przynajmniej jej fragment.

— Rozwiązałeś więc zagadkę?

Skinął głową

— Dłonie, przyjacielu. Sekret tkwi w dłoniach.

Gdy wszyscy zebrani skończyli wieczerzać przy jednym z ogromnych stołów zastawionych wykwintnym jadłem, które mogło oneśmielić kucharzy króla, Franciszek, stuknąwszy kilkakrotnie widelczykiem w szyjkę kielicha, wstał i przyjrzał się zebranym.

— Znalazłeś więc panie cenną zgubę? — spytała, mrużąc oczy, pani Marianna Karolina.

Przyjaciół mój, nadal milcząc, skinął powoli głową, a całą długość stołu opanały szepty i szemranie.

— Gdzież więc się ona znajduje? — nie ustępowała siostrzenica hetmana, lekko marszcząc brwi. Sam zaś Branicki siedział tylko u węgła stołu z marsowym czołem i rumieńcem na twarzy. Wreszcie mój kompan zdecydował się przemówić.

— Proponowałbym poszukać w kaplicy — w ciszy rozbrzmiało jedno lub dwa kobiece westchnienia — za figurą Najświętszej Panny, pod niebieskim atlasem.

Zaraz został tam wysłany sługa, który powrócił po chwili, niosąc w obu dłoniach małe zawiniątko. Hetman wyciągnął z materiału kuferek, cały z najprzedniejszego srebra, zdobiony perłami, z okazałym szmaragdem wieniecującym wieko. Ponownie wybuchła wrzawa. Jakiś zagraniczny gość, prawdopodobnie Włoch, krzyknął coś, co przetłumaczono chwilę potem. Było to zbędne — każdy zadawał to samo pytanie.

— Skąd wiedziałem, że znajduje się w tym właśnie miejscu? Ależ to bajecznie proste — uśmiechnął się Franciszek i znów zawiesił głos, obserwowując wpatrujące się w niego twarze. — Sam go tam położyłem.

Wrzawy, jaka nastąpiła chwilę po tym, praktycznie nie sposób było uciszyć. Zmuszony byłem więc uciec się do sprawdzonych, kurtuazyjnych metod moderacji dyskusji. Trzasnąłem pięścią w stół. Mój towarzysz popatrzył na mnie z wdzięcznością w ciszy, która zapadła, i rzekł: — Obiecuję wszystko wyjaśnić. Jednak jeszcze nie teraz. Pozwolisz, Wielki Hetmanie, że poproszę, byś otworzył ten kuferek i sprawdził, czy niczego nie brakuje.

Wszyscy naraz odwrócili się w stronę gospodarza, który oddychając ciężko, wpatrywał się w wieko. Franciszek uważnie obserwował twarz Branickiego otwierającego skomplikowany zamek.

Przez dłuższą chwilę hetman przyglądał się wnętrzu, po czym zamknął je, przywołał na twarz uśmiech i orzekł: — Wszystko na miejscu — spojrzał na drugi kraniec stołu i zapytał: — Powiesz nam więc, kawalerze, jak to się stało, że wszedłeś w posiadanie mojej zguby, i dlaczegoś nie zwrócił mi jej natychmiast, gdy się to stało?

Przyjaciół mój, nie przestając się uśmiechać, odpowiedział wprost:

— Znalazłem ją — i nim którykolwiek z gości z panem Branickim na czele zdążył zareagować, dodał: — Myślę, że została porzucona przez tegoż samego złodzieja, którego schwytano trzy dni temu. Łudziłem się, że będę mógł to jakoś udowodnić. Ukryłem więc znalezisko, by wywrzeć większe wrażenie w odpowiedniej chwili. Plan mój jednak spalił na panewce. Dlatego, zgodnie z obietnicą, oddaję ci panie twą własność.

Wszyscy patrzyli na Franciszka z niedowierzaniem. Nie starał się nawet udawać, że kłamie. Po chwili hetman skinął głową.

— Nie wiem, jak mam ci dziękować kawalerze. Masz odtąd we mnie dłużnika. Tymczasem — pijmy!

Gdy do stołu podawano kolejne trunki, pożegnaliśmy towarzystwo i opuściliśmy pałac. Trzymałem pytania na wodzy, wiedząc, że mój towarzysz wyjaśni mi wszystko w odpowiednim czasie.

Przemierzaliśmy zasypiające powoli uliczki miasta, gdy w jednym z zaułków drogę zastąpiło nam dwóch mężczyzn. Sięgnąłem po przytroczone do pasa pistolet, ale Franciszek położył mi rękę na ramieniu.

— Oddamy im nasze płaszcze.

Pozbywszy się wierzchniego odzienia obserwowałem, jak ludzie, nagle podobni do nas, oddalili się w przeciwnym kierunku. Ruszyliśmy w doskonale już znaną mi stronę. Kilkanaście minut później stukaliśmy do drzwi na ulicy Młynowej. Bez odpowiedzi. Zapukałem raz jeszcze. Tym razem odpowiedziało nam zaspane dziecięce „Kto tam?”.

— Goście do pana Goldbauma — odpowiedział mój towarzysz.

— Pana nie ma w domu — dobiegło zza drzwi.

Franciszek przełknął ślinę.

— Gdzie zatem jest? — zapytał.

— Pojechał do synagogi w Tykocinie.

— Kiedy?

— Wczoraj.

— Posłuchaj mały... Jak się nazywasz?

— Jan.

— Posłuchaj Janie. Jesteś mądrym chłopcem. Nie otwieraj nikomu, ale to nikomu, dopóki pan nie wróci. Rozumiesz?

— Tak. Czy mogę iść już spać?

— Oczywiście — odparł mój kompan.

Odsunęliśmy się od drzwi. Spojrzałem na jego zatroskaną twarz.

— Boję się, czy niechcący nie wplączemy tego starca w jeszcze jedną intrygę. Lecz jeszcze bardziej obawiam się, by nie była to ostatnia intryga w jego życiu. — Po chwili dodał ciszej: — Muszę się nadto dostać do środka tego domu, ale po cichu. Być może spróbujemy jutro. Tymczasem, pozostała jeszcze tylko jedna rzecz, którą chciałbym sprawdzić. Kilka minut później zbliżyliśmy się cicho do kościoła. Franciszek przykucał i przyłożył ucho do drzwi, ja zaś szukałem w nich jakichś prześwitów. Wiatr uciął i ptaki też jakby nagle przestały życzyć sobie spokojnej nocy. Nagle zza pleców usłyszeliśmy niski głos:

— Hm. Co panowie robicie, jeśli wolno mi spytać?

Odwrociłem się błyskawicznie i stanąłem oko w oko z oficerem, który pomagał mi dźwigać Franciszka dwa dni wcześniej. Człowiek ten stał teraz i z lekko przechyloną głową obserwował nasze dziwne pozycje.

— Szukamy naszyjnika jednej z dam. Twierdziła, że zgubiła go podczas mszy. Mężczyzna uniósł lekko brwi.

— Po ciemku będzie panom trochę trudno — stwierdził, po czym zwrócił się wprost do mego towarzysza:

— Macie dziś, panie, wieczór nieudanych wymówek.

— Co pan insynuuje? — zapytał Franciszek, powstając z ziemi.

— Nic. Absolutnie nic.

— A co ty panie robisz tu o tej porze? — spojrzałem na niego wyczekująco, choć właściwie znałem odpowiedź.

— Przychodzę tu jak co noc, pomodlić się w samotności, ciszy i spokoju.

— A czy nie przeszkadzało by panu tym razem, gdybyśmy i my się dołączyli? — drażył Franciszek, nie spuszczać oka z naszego rozmówcy.

— Proszę o wybaczenie, ale spokój jest dla mnie wartością absolutną. I jest mi tożsamy z samotnością — odparł spokojnie oficer.

Przytaknęliśmy i życząc mu dobrej nocy, powróciliśmy do pałacu.

Korytarz pogrążony był w mroku. Westchnąłem, mój towarzysz zaś przytaknął.

— By w tak wspaniałym domostwie swego nosa po ciemnicy szukać. To się w mej zmęczonej głowie nie mieści — i pokręciwszy wzmiankowaną głowę, ruszył ku naszym pokojom, ja zaś podążyłem za nim, obaj zbyt zmęczeni, by wołać służbę.

Nagle coś zaszeleściło w cieniu przed nami, niewidoczne w słabym świetle korytarza, który pozostawiliśmy za sobą. W jednej chwili, która zastygła jakby dla całego czasu, jednocześnie usłyszałem zaciekawione mruknięcie mego przyjaciela, odbezpieczenie kurka i trzask. Potem był już tylko rozbłysk iskry w ciemnościach i huk wystrzału.

I brzęk zdobnych sreber, wieczność dalej, gdy tuż obok mnie ludzkie ciało upadło bezwładnie na komódkę, chwilę zaś później, z miękkim stuknięciem osunęło się na dywan.

27 Czerwca Anno Domini 1753

Ku mej niezmiernej radości Franciszek przeżył. W zasadzie nie było to trudne, bo w porównaniu z raną postrzałową, która tylko zerwała mu kawałek skóry na ramieniu, guz nabity o komódkę wyglądał znacznie gorzej. Przyjaciel mój zdecydował się jednak pozostać w swym pokoju, mi zaś przykazał podawać konfundujące informacje wszystkim, którzy pytaliby o jego stan zdrowia. Przyjął w tym czasie kilkoro ludzi, w większości służbę, raz czy dwa lekarza.

Po południu zdecydował, by poinformować wszystkich, iż nie czuje się najlepiej i chciałby pomówić z kilkoma osobami.

Wieczorem na jego życzenie w pokoju pojawił się hetman wraz z żoną i siostrzenicą, kilkoma najbliższymi konsyliarzami. Do tego kilka sztuk mniej zacnej szlachty. Na pytania o zdrowie i samopoczucie odpowiadał zdawkowo. Wreszcie poprawił sobie poduszki i rzekł:

— Wielki Hetmanie, dostojne panie, szlachetni panowie. Złożyłem obietnicę odnalezienia skradzionych tu dóbr. A musicie wiedzieć, że rzadko daję na coś swoje słowo. Jak już wicie wypełniłem część tego zobowiązania. Teraz je

zakończę. Odszukałem bowiem miejsce ukrycia skradzionej zawartości puzdra. Proszę was Hetmanie, nie patrzcie tak na mnie. Odszukałem więc to miejsce. Nadto dowiedziałem się, kto jest złodziejem, a także kto zaatakował mnie i mego towarzysza wczorajszego wieczoru. I musicie wiedzieć, że te osoby znajdują się w tym właśnie pomieszczeniu. Zebrani popatrzeli po sobie trochę zdezorientowani. Franciszek otworzył usta... I nagle zbladł, potem zaczerwienił się i z zamkniętymi oczyma osunął się na łóżko. Przyskoczyłem do niego natychmiast, sprawdziłem, czy żyje. Ktoś już wołał lekarza. Medyk z olbrzymią czarną torbą pojawił się po jakiejś minucie, wypędzając wszystkich z komnaty. Gdy wychodziłem, zatrzymał mnie, nakazując zostać. Gdy tylko zamknęły się drzwi i zostaliśmy w środku we trzech, mój przyjaciel otworzył oczy i całkiem rażno wyskoczył z posłania. Zobaczyłem wtedy, że ma już na sobie pludry. Doktor pomógł mu się ubrać, podał mi moje rzeczy do wyjścia i otworzył okno.

— No już — szepnął Franciszek — naprawdę nie mamy wiele czasu.

Pospieszyłem za przyjacielem bez słowa. Gdy tylko opuściliśmy teren pałacu, wybuchłem:

— Nie rozumiem! Cemuż służyła ta scena? Gdzie spieszymy? Nie miałeś właśnie wyjawić, kto jest złodziejem?

— Ach, przyjacielu! To już nieważne. Zresztą, prawdziwego złodzieja zawartości kuferka nie ma już w pałacu.

— Samżeś przed chwilą orzekł, iż winny kradzieży znajduje się wśród nas!

— I nie skłamałem!

— Ale...

— Emilu, najwspanialszy... Przecież nie kto inny ukradł zawartość tego kuferka...

— Jak tylko?

— Jak tylko my.

Zatrzymałem się, zdezorientowany wpatrując się w mego towarzysza. Ten odwrócił się i siłą pociągnął mnie za ramię.

— Dobrze, wytłumacz ci więc wszystko po kolei, ale nie mamy zbyt wiele czasu. Słuchaj uważnie — wziął głębszy oddech i zaczął: — Dwa dni przed naszym przyjazdem na dworze Branickiego pojawia się mało znany szlachcic wraz z siostrą. Zatrzymują się w austerii „Pod Łabędziem”. Dzień później zmagają go choroby, wzywa lekarza, po którego wizycie pozostaje w zajeździe pod opieką siostry. Siostra z przykazu brata bywa również w pałacu, uczestnicząc w zabawach i stając się naturalną figurą w kaledoskopie gości. Dostaje się do komnat hetmana, odnajduje i zabiera kuferek, po czym otwiera go, wyjmując interesującą ją zawartość i...

— Wstrzymaj się. Dostaje się do komnat hetmana, otwiera kuferek. Obaj widzieliśmy, jak skomplikowany mechanizm został w nim zastosowany. Nie oszukujmy się — szlachta potrafi tylko pić, snuć intrygi, romanse i narzekać. Zwykle jaśnie pani nie ma nawet pojęcia o umiejętnościach potrzebnych, by otworzyć puzdro.

— Zgadza się w zupełności. Nie mogłaby tego zrobić. Gdyby w istocie była szlachcianką. Niestety jednak, choć czarująca, pani Marzena Tczacka jest aktorką i włamywaczką, którą wynajęto właśnie, by zdobyć zawartość kuferka.

— Na litość, skąd to wiesz?

— Przepytałem jej brata. Był pod wpływem jakiegoś narkotyku, przez który wyglądał jakby trawiła go gorączka, i wiele więcej informacji ponad potwierdzenie moich domysłów nie uzyskałem. Domysłów, dodam, których zasięg mocno posunął do przodu wtedy w parku, zwracając mi uwagę na jej prawdziwą cerę. Słowem, nie powiedziano mi nic ponad to, czego sam już nie założył.

— Kiedy zdążyłeś to zrobić?

— Odwiedzić jej brata? Wtedy gdy ty, miły druhu, zajmowałeś jej uwagę. Musisz mi wybaczyć, ale po to musiałem poirytować cię i zmusić do niezbyt ostrożnego działania, byś wyszedł na wścibinosa, którego trzeba mieć na oku. Przyznaj, że tak się właśnie stało. Ja zaś z łatką bawidamki i niepoprawnego hulaki mogłem spokojnie, nie niepokojony przez nikogo upewnić się w kilku kwestiach, gdy ona trzymała cię na uroczej smyczy.

— Mówiłeś, że ukradła kuferek i wyjęła zawartość. Hetman twierdził, że nic nie zginęło. Nadto, dlaczego nie wywiozła go ze sobą? Nie ryzykowała przecież nazwiska, które i tak było fałszywe. Zawsze mogła też odstawić puzdro na miejsce.

— Myślę, że tak właśnie planowała uczynić. Jednak przedtem zdarzyło się coś zupełnie nieprzewidywalnego — złapano złodzieja w pałacu dokładnie w dniu, w którym i ona dokonała kradzieży. Być może nawet dokładnie w tym samym momencie. Musiała odstawić kuferek na miejsce, inaczej hetman po jednym incydencie sprawdziłby swój stan rzeczy najcenniejszych i spostrzegł jego brak. Ryzykowała, iż Branicki otworzy pudełko i sprawdzi jego zawartość. Tak się jednak nie stało. Pochwaliłbym ją za zimną krew, ale ta jej nie dopisała. Inaczej wyniosłaby to, co zabrala, korzystając z zamieszania. Myślę jednak, że przestraszyła się, widząc jak służba i straż biega po całym pałacu, nieufnie spoglądając na każdego, czasem nawet przeszukując. Schroniła się w najbliższym pomieszczeniu i ukryła zabraną zawartość kuferka. Tę prawdziwą zawartość, którą znalazła w drugim dniu.

— A więc sam kuferek i biżuteria w nim nie miały większego znaczenia? Po co więc ukradła go po raz drugi, co musiało skończyć się nagłośnieniem?

— Dokładnie po to. Wyjętych przez nią rzeczy nie było już wtedy w pałacu i prędzej czy później by się to wydało. Dyskretnie podrzuciła więc kuferek jednej z uboższych szlachcianek, która nie mogąc oprzeć się pokusie, zatrzymała go. Gdyby służba przeszukała pokoje, odnaleziono by zgubę, zaś nim wreszcie dano by wiarę poszkodowanej, pani Tczacka prawdopodobnie zwiadałaby którąś z odległych stolic. Zgodnie z jej oczekiwaniami, gdy wyszło na jaw, że kuferek zniknął, dama, która go znalazła, oczywiście nie przyznała się do tego. Bardziej ze strachu niż chciwości. Właściwie próbowała odrobinę rozparcelować pudełko, wyjmując kilka pereł i przede wszystkim szmaragd, co było oczywistym krokiem.

— Skąd to wiesz? — spytałem skrecając, bo właśnie mijaliśmy rynek.

— Powiedziała mi. A właściwie ja jej powiedziałem, po czym się przyznała. Widzę po twojej minie, że mam to rozwinąć. Otóż wczorajszego ranka, kiedy widziałeś mnie pod postacią pandemonium towarzyskiego, szukałem właśnie śladów tych prób parcelacji. Było oczywiste, że ktoś, kto wszedł w posiadanie takiego drobiazgu, będzie próbował go upłynnić, ale w całości nie było to możliwe. Nadto, nie mógł poprosić nikogo o pomoc, więc pozostawały jedynie samotne próby. A, że jak sam wspomniałeś, szlachta do pracy ma dwie lewe ręce, w tym jedną zepsutą, śladów nieudanych prób szukałem na tych właśnie rękach. A uwierz, że można przyjrzeć się dokładnie dłoni, nad którą się nachylasz.

— Co jednak, gdyby nie była to kobieta?

— Nie wiem, wymyśliłbym pewnie coś innego. Pamiętam grę mentalną opowiedzianą mi raz przez starego Araba. Mógłbym spróbować tego — uśmiechnął się — jednak nie musiałem. Dopisało mi szczęście. Odnalazłem damę, która ukrywała kuferek, i w zamian za przemilczenie jej nazwiska odzyskałem go, zbadałem, potem zaś umieściłem w kaplicy. Przy okazji mego małego porannego śledztwa trafiłem na jeden drobiazg, który z Twoją pomocą umożliwił mi rozwiązanie całości problemu. Otóż trafiłem na damę, która ukrywała dłonie w delikatnych rękawiczkach, mimo ciepłej pogody.

— Marzenę Tczacką.

— Dokładnie.

— Ale wytłumacz mi proszę... Ta prawdziwa, wewnętrzna zawartość kuferka, którą ponoć ukradliśmy, choć, jak rzekłeś, od kilku dni nie ma jej już w pałacu. Cóż to jest?

— Niedługo się dowiemy — mruknął, osłaniając oczy przed wiatrem.

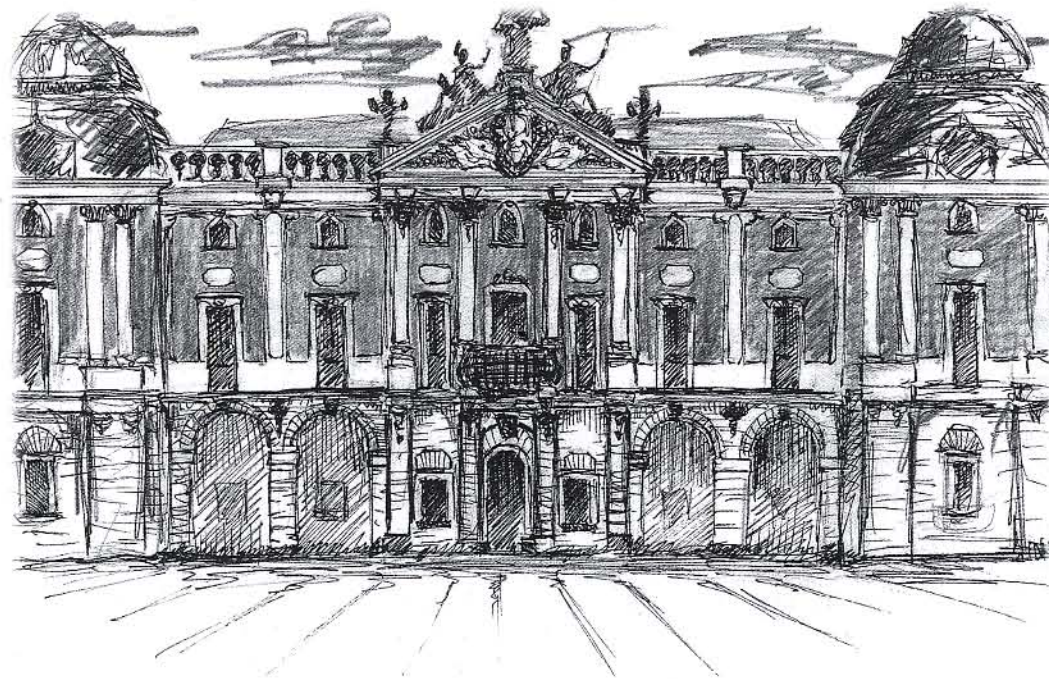
— Ach, mówiłeś też, że wiesz, kto do ciebie strzelał.

— Tak, choć w tym miejscu wystąpiły problemy. Jednak jestem prawie pewien, że to ten francuski szpieg. No, jak mu było... Mokronowski.

Spojrzałem z niedowierzaniem na jego ciemną sylwetkę maszerującą obok mnie.

— Skąd wiesz, że jest szpiegiem?

— Pamiętasz Łotrze, kiedy na wielkim balu nagle zagałęm do ciebie po francusku? Było to tylko po to, by zobaczyć, jak zareaguje. On zaś



odpowiedział perfekcyjnie. Nie spuszczał z nas oczu przez większość czasu. Mało tego – o ile tylko mógł, przybliżał się, by słyszeć, o czym rozmawiamy, pomógł Ci mnie nieść na przykład.

– Nie powiesz mi chyba, że wynioskowałeś, iż jest agentem, bo znał francuski i łaził za nami?

– Co? Ach, nie, nie... Wybacz. Wiedziałem, że jest agentem, bo dwa lata temu widzieliśmy go na dworze Ludwika. Ten mały eksperyment, o którym wspominałem, miał sprawdzić zupełnie co innego. Właśnie na jego podstawie wykluczyłem Mokronowskiego z grona podejrzanych. Jak mogło być inaczej, skoro, w momencie gdy do mnie strzelano, był przecież z młodą Izabellą Branicką. A jednak to był on.

– Proszę !?

– Prawda, że trudno to wyjaśnić? Umknął mi jednak jeden szczegół, niezwykle istotny, choć...

– Na podstawie czego wnioskujesz, że młoda pani Branicka i Mokronowski darzą się jakimś afektem?

– Przecież już wyjaśniłem – odparł poirytowany. – Na wielkim balu sprawdziłem, czy te ukradkowe spojrzenia, delikatne otarcia i skrywane uśmiechy to coś więcej niż przypadki lub przyjacielskie porozumienie. Gdy tylko wzmiankowałem panią domu, nasz drogi oficer zaczął być na nas wrażliwy jak poborca podatkowy na pieniądzu. Potem zaś, przy całej hecy z Marzenną Tczacką, przyuważyliśmy ich w kościele. I właśnie kościół to punkt kluczowy. Miejsce ich schadzek.

– Jak jednak doszedłeś do tego, że to on nas zaatakował? Widzieliśmy go wchodzącego do świątyni, kiedy szliśmy do domu.

– Widzisz, poprosiłem dziś służbę, by sprzątać pokoje i czyszczyć ubrania zwróciła uwagę na ślady lub zapach prochu na czyjejs koszuli lub sukni – nie będącej jednak częścią stroju do polowania. Dumni powrócili do mnie, donosząc, że prawie każde odzienie nosi takie ślady. Zapomniałem zupełnie, iż podczas imienin hetmana tak często dawano salwy. Szczęśliwie jeden ze służących, może go pamiętasz, był niegdyś żołnierzem i bez trudu rozpoznał woń świeżo użytego prochu. W pokoju nikogo innego tylko... Izabelli Branickiej. Pani hetmanowa nie byłaby w stanie wystrzelić do któregośkolwiek z nas, więc pozostaje tylko jedna osoba. Wszelkie spekulacje i scenariusze, skąd jego koszula wzięła się w jej alkwie, są raczej niepotrzebne. Ale jak wytłumaczyć fakt, iż według służby Mokronowski powrócił do pałacu dopiero jakieś pół godziny po całym zajściu? Szukając więc jakichś alternatyw, zadałem sobie pytanie, dlaczego po mieście nie huczy od plotek o codziennych wycieczkach dziewczyny do kościoła. Odpowiedź była prosta: nikt tych wędrowek nie widział. W tak niewielkim miasteczku trudno jest ukryć cokolwiek, poza tym co już dawno jest ukryte.

– O czym mówisz?

– O tajemnym tunelu łączącym pałac z kościołem. Zakładałbym, że zbudowanym, gdy przerabiano znajdujący się tu zamek obronny na rezydencję. Korzystając z takiego tunelu, nasz oficer mógł zaatakować nas w pałacu, by jakiś czas później spokojnie wyjść ze świątyni. Hm, i oto jesteśmy.

Po raz kolejny spojrzałem na drewniany dom przy Młynowej. Było w nim coś niepokojącego. Zdusiłem jednak w sobie ten niemądry strach. Zasłaliśmy domostwo od tyłu i wyjętymi z torby lekarskiej narzędziami otworzyliśmy okno do mniejszej izby. Cichcem przeleźliśmy do środka. Niewielkie palenisko rażą skwierczało pod ogromnym szklanym pojemnikiem pełnym gorzałki. Ostrożnie zbliżyliśmy się do kotary, która odsunięta ukazała nam ponownie małą biblioteczkę. Franciszek po chwili odnalazł egzemplarz Pisma Świętego i otworzył go za maszyną. Usłyszałem trzask.

– Z początku myślałem, że to ślady renowacji, ale myliłem się. Och, jak mocno się myliłem – wyjaśnił, wyjmując spomiędzy dwóch części okładki złożony papier.

Rozłożywszy go, przeczytaliśmy prędko. Zakląłem pod nosem, całkiem nie po szlachecku, zaś mój przyjaciel zadrzał. Spojrzał na mnie po chwili.

– Jeśli Branicki dowie się, że wiemy o pobranych rentach od rządu Francji i, co gorsza, mamy na to dowody, staniemy się bardzo, bardzo niewygodni.

– To chyba znaczy, że czas opuścić ten sielski zakątek, prawda?

Mój towarzysz przytaknął, a jego wzrok spoczął jeszcze na chwilę na księgozbiore.

– „Więszą wartość niż inne” – szepnął do siebie i wyciągnął stojący wcześniej obok Biblii wolumin.

W tym momencie usłyszałem szmer za naszymi plecami i odwróciłem się z wycelowanym pistoletem. Zobaczywszy błysk ostrza, pociągnąłem za spust. W chwili wystrzału mój przyjaciel rozpołowił okładkę. Próbuąc rozwiać chmurę dymu ręką, spostrzegłem, jak wysoki napastnik zatacza się, lądując bezwładnie na aparaturze i rozbijając ją. Usłyszałem też westchnienie Franciszka, gdy wyjmował sekretne dokumenty ze starej książki.

W tej samej chwili, gdy on unosił głowę, patrząc na ogrom możliwości i tajemnic, które kryła ta biblioteczka, ja z przerażeniem rejestrowałem, jak akwawita wypływa z roztraskanego baniaka, wsiąka w wałające się szmaty, w papiery i drewno, po czym zajmuje się ogniem. Moment później płonęła już dolna półka. Pomieszczenie wypełniły kłęby dymu. Siłą wyciągałem dławiącego się oparami towarzysza.

– Nie! Nie możemy tego zostawić! Tu jest wszystko! – wrzeszczał, wyrывая się.

Wpadliśmy do drugiego pomieszczenia, zanosząc się kaszlem. Pokój z książkami przypominał już olbrzymi komin, a ogień wydawał się nas gonić, coraz bardziej przyspieszając. Brutalnie postawiłem Franciszka na nogi i wypadliśmy z budynku dokładnie, kiedy jedna z kotar, błyskawicznie zajmując się ogniem, prawie spadła nam na plecy.

Silny wiatr owiał nasze twarze, przynosząc chwilową ulgę. Odwróciłem się i zobaczyłem, jak za jego sprawą ogień przenosi się na sąsiedni drewniany domek. Chciałem krzyknąć, ale poczułem tylko drapanie w gardle. Płomienie zaczęły rozprzestrzeniać się coraz szybciej. Dźwignąłem swego przyjaciela i kuśtykając zaczęliśmy oddalać się od źródła ognistego zniszczenia.

Ludzie powoli zaczęli wylaniać się z domów, pytać, co się stało, krzyć o pomoc. Trochę dalej jakiś mężczyzna przechylił się przez płot.

– Hej tam! A z jakiej to okazji tam tak jasno?

Franciszek uśmiechnął się ponuro, po czym chrapliwym głosem odpowiedział:

– Żyd kurzy gorzałkę.

Człowiek podrapał się w głowę i nadal stał zapatrzony w lunę.

Przyjaciel mój stanął o własnych siłach i powoli ruszyliśmy. W poprzeczonych dłoniach trzymał dwie książki.

Rysunki: Mateusz Bielski

Mateusz Bielski jest białostoczaninem, studentem drugiego roku stosunków międzynarodowych, członkiem Stowarzyszenia Fabryka Bestsellerów, pisze, rysuje, interesuje się fantastyką. Przez najbliższe pół roku zamierza badać wpływ włoskiego słońca i włoskiej myśli ekonomicznej na swoje samopoczucie.

W listopadzie 2006 roku wziął udział w II edycji warsztatów kreatywnego pisania pt. „Kryminalne Podlasie”, które miały wyłonić autorów najlepszych opowiadań kryminalnych z wątkiem historycznym dotyczącym Podlasia. Jury przyznało opowiadaniu jego autorstwa zatytułowanemu „Z pamiętników Łotra” drugie miejsce. Nagrodą jest publikacja opowiadania w Białostockim Magazynie Historycznym „Gryfita” (więcej o „Kryminalnym Podlasiu” na stronie www.fabrykabest.republika.pl).

Między rokiem 1660 a 1669, czyli w latach gdy powstawał jego pamiętnik, Pepys miał do czynienia, w sensie erotycznym, z kilkudziesięcioma kobietami. Niektóre z nich były jego regularnymi i wieloletnimi kochankami. Kontakty z większością ograniczały się jednak do pocałunków, lub co najwyżej obnażania i dotykania ich biustów. Przyglądając się liście Pepysowych podbojów, trudno nie zauważyć, że znakomita większość kobiet, które padły ofiarą jego niezaspokojonej żądzy, była od niego w taki czy inny sposób zależna, a on, czasem z lekkim zażenowaniem, ale zwykle z wielką determinacją, wykorzystywał własną wobec nich pozycję.

Warto zauważyć, że chociaż Pepys koncentruje się w dzienniku na własnych, zazwyczaj pozytywnych, odczuciach związanych z jego kontaktami z płcią przeciwną, czasami sam przyznaje, że jego gesty odbierane były jako napastliwe. W styczniu 1665 spędził godzinę lub dwie w towarzystwie niejakiej Jane Welsh, służącej jednego ze swych znajomych, która przysłała by poskarżyć się na swojego pana odmawiającego jej prawa spotkania się z ukochanym. Próbuąc wyperswadować jej pomysł ucieczki, nie omieszkał wykorzystać okazji i próbował ją dotykać, a także nakłaniał dziewczynę do dotykania jego intymnych części ciała, ale, jak pisał, panna odmówiła i to bardzo zdecydowanie. Innym razem (18 sierpnia 1667) wspomina epizod, w kościele, do którego wstąpił na chwilę w drodze do pracy. Wpadła mu tam

w oko pewna dziewczyna, którą usiłował objąć i chwycić za rękę. Gdy mimo, iż odsuwała się od niego jak najdalej Pepys nie rezygnował, panna sięgnęła do kieszeni i wydobyła szpilkę do włosów, lub inny szpikulec i w ten sposób dała do zrozumienia, że nie życzy sobie dalszych zalotów. Wielkim rozczarowaniem było też dla Pepysa usłyszeć z ust adorowanej od lat Betty Michell, córki drobnego londyńskiego kupca, że nie ma ochoty, by Samuel brał ją za rękę i zmuszał do pieszczot, bo „nie lubi dotykania”. Wielokrotnie pisał też, że mimo, iż udało mu się nakłonić kobietę do dotykania jego przyrodzenia, lub odbicia stosunku, działało się to wyraźnie wbrew jej woli i często musiał używać siły, aby osiągnąć cel. Było tak na przykład w przypadku jego bardzo licznych kontaktów z panią Bagwell, którym niejednokrotnie towarzyszyły gwałtowne szamotaniny, a jedna z nich zakończyła się nawet kontuzją dłoni niecierpliwego kochanka.

Kobietami, których usta, pierś i nogi najczęściej padały ofiarą niezaspokojonego apetytu Samuela Pepsa były karczmarki, służące i pokojówki, które najczęściej nie miały wielkiego wyboru i mniej lub bardziej pokornie godziły się na to, co je spotykało. Szczególnie trudna była sytuacja pańien zatrudnionych w domu Pepysa. Uważa się, że traktowanie ciał kobiet należących do służby domowej jako łatwo dostępnych narzędzi rozładowywania erotycznego napięcia było w siedemnastowiecznej Anglii powszechne,



Elizabeth Pepys
źródło: www.art.com

a panowie uznawali za oczywiste, że świadczenie usług seksualnych było częścią niepisanego kontraktu zawieranego z nimi przez kobiety w chwili gdy przyjmowali je na służbę. Pepys nie był wyjątkiem, ale w jego przypadku zauważyć można jednak pewną powściągliwość, przejawiającą się tym, że swoje zapędy ograniczał zwykle do mniej lub bardziej natarczywych pieszczot i wymuszanych pocałunków. Wynikało to najpewniej z panicznej obawy przed skandalem, jaki mogła wywołać niechciana ciąża którejś z niezamężnych służących. Czasami obłapianie pokojówek i karczmarek stanowiło dla Pepysa coś w rodzaju „gry wstępnej”, której finałem był kontakt ze znacznie bezpieczniejszą, bo zamężną kochanką. 12 października 1666r. na przykład zapisał, że w czasie obiadu w swojej ulubionej tawernie zabawiał się z Sarą, córką właściciela, a następnie udał się do pani Martin, z którą, jak to eufemistycznie określa: „(...) zrobił to, co miał zrobić”. Jako że rzeczona

pani Martin pozostawała w sformalizowanym związku, sprawcą potencjalnej ciąży mógłby równie dobrze być jej mąż, a ewentualne ojcostwo Pepysa byłoby praktycznie niemożliwe do udowodnienia.

Jednak jeśli wierzyć naszemu pamiętnikarzowi, odbycie pełnego stosunku seksualnego nie zawsze było konieczne, by czuć się w zupełności usatysfakcjonowany. Podobno potrafił spędzać długie godziny całując i dotykając kobiece piersi i nie posuwając się ani o krok dalej. Domowe służące były w takich przypadkach idealnymi obiektami pożądania. Codziennie rano i wieczorem pokojówka przychodziła do pokoju Pepysa by pomóc mu w toalecie i uporządkować łóżko. Intymność wykonywanych czynności w połączeniu z pozycją jaką wobec Pepysa zajmowały usługujące mu kobiety były dla niego źródłem silnego erotycznego napięcia, które rozładowywał obnażając i całując ich biusty. Czasem posuwał się do bardziej wyrafinowanych pieszczot, ale wydaje się, że strach przed żoną i skandalem sprawiał, że osiągał zadowolenie poprzestając na „półśrodkach”.

Do grona kobiet, które przewinęły się przez gabinet i ręce Samuela Pepysa należały, poza służącymi, żony i córki mężczyzn, których pozycja i dochody zależały od jego protekcji. Od 1660 r. Pepys był sekretarzem Urzędu Marynarki i dzięki temu miał nie mały wpływ na przydział posad lub awans na posiadanych już stanowiskach związanych z flotą i jej

obsługą. Pepys doskonale zdawał sobie sprawę z posiadanej przez siebie władzy i świadomie wykorzystywał ją dla zaspokojenia swoich erotycznych fantazji. W grudniu 1666r. opisał wizytę małżonki pewnego człowieka, który miał ambicję zostać nadzorcą budowy statku. Pepys nadmienił w dzienniku, że obiecał pomoc, ale dodał też uczciwie, że oto „miał okazję by ją pocałować i dotykać jej piersi”. Najprawdopodobniej też nie przypadkiem pewnego lipcowego dnia 1666 r. spotyka się i obcałowuje młodą żonę kupca Thomasa Hilla. Tego właśnie dnia marynarka sfinalizowała kontrakt na zakup materiałów budowlanych, a jego wykonawcą był właśnie mąż pani Hill. Trzynastego kwietnia 1667r. odwiedziła Pepysa w biurze inna mężatka i znów nadarzyła się okazja „by dotykać jej piersi i całować je (...)”, co przyjęte zostało z ochotą. Tym większą, że znów chodziło o wyświadczenie przysługi małżonkowi. Również niejaka pani Daniel wielokrotnie odwiedzała Pepysa przypominając mu o obietnicach danych jej w sprawie awansu jej męża, oficera marynarki. W tym przypadku zapłatą za życzliwe rozpatrzenie sprawy było zdaje się coś więcej niż tylko niewinne całusy. Notatki Pepysa z pięciu wizyt „w interesach” złożonych mu przez panią Daniel dziewiętnastowieczny wydawca dzienników uznał za zbyt obsceniczne i w druku zastąpił je wielce niejednoznaczny wielokropkiem. Jak wielka była beczelność i premedytacja Pepysa może świadczyć jego postawa wobec

rzecznej pani Daniel w chwili, gdy przyszła do niego z prośbą o pożyczkę pieniędzy. Odmówił, ponieważ, jak zapisał, „nie miał okazji mieć z nią tej rzeczy”. Po tym dniu nazwisko pani Daniel zniknęło z kart dziennika Pepysa.

Do samego końca natomiast pojawiać się będą w nim dwa nazwiska regularnych kochanek Samuela, które podobnie jak wszystkie wcześniej wymienione kobiety, oferowały seks jako formę łapówki płaconą w zamian za awanse małżonków. Panią Betty Martin Pepys poznał gdy była jeszcze kilkunastoletnią Betty Lane i jeszcze zanim zakochał się i ożenił z Elżbietą. Ich romans utrzymał się przez cały okres powstawania dziennika, a skądinąd wiadomo, że i długo po tym jak Pepys zaprzestał pisania, utrzymywał kontakty z panią Martin. Claire Tomalin, autorka biografii Pepysa, uważa, że Betty mogła mieć przez pewien czas nadzieję na małżeństwo z Samuelem, ale mrzonki rozwiały się, gdy ten poślubił pannę St. Michele. Ku wielkiej uldze Pepysa, Betty również wkrótce wstąpiła w związek małżeński i ... nic nie stało już na przeszkodzie, by wreszcie skonsumować ich związek. Historia pani Martin nie do końca wpisuje się w formułę seksualnego napastowania w zamian za przysługi. Owszem, pan Martin niewątpliwie odnosił korzyści z namiętności jaką pałał do jego żony Samuel Pepys. Sam Pepys napisał zresztą w 1667: „(...) niepokoję się trochę, że moje względy okazują człowiekowi tak próżnemu jak on [pan Martin],

tym bardziej, że wydaje mi się, że ludzie patrzą na mnie jako na tego, który go proteguje i tak jakby domyślali się skąd bierze się moja uprzejmość wobec niego”. Ale wydaje się, że w przeciwieństwie do innych kobiet, Betty Martin również czerpała z tego układu swego rodzaju korzyści. Była chyba najbardziej ognistą z kochanek Pepysa, spontaniczną i pełną entuzjazmu, czasem zresztą ku zażenowaniu Samuela, i nie kryła, że seks z nim był dla niej również źródłem rozkoszy. Tak więc mamy tu do czynienia z transakcją, w której towarem był awans zawodowy małżonka, płatnikiem była żona, a walutą jej ciało, ale wydaje się, że żadna ze stron nie czuła się szczególnie pokrzywdzona.

Nieco inaczej miała się sprawa w przypadku innej długoletniej kochanki Pepysa, pani Bagwell. Przychodzi-

ła ona do biura Samuela prosić o przeniesienia męża z bardzo nędznej posady cieszącego na drugorzędym stateczku na stanowisko, które przynosiłoby lepsze zarobki i prestiż. W 1663 roku Pepys zapisał, „(...) po drodze spotkał mnie młody Bagwell i jego żona prosząc o pomoc w znalezieniu mu lepszego statku, co udało mi się, że bardzo chętnie uczynię, ale tak naprawdę chodzi mi o to by poznać jego żonę trochę bliżej”. Po kilku miesiącach całowania, pieszczenia piersi i wzajemnego masturbowania, Pepys zrealizo-

wał w końcu daną obietnicę. Napisał list do swego przełożonego z prośbą o przeniesienie Bagwella na lepszy okręt i jeszcze tego samego dnia udał się do pani Bagwell odebrać zapłatę. Z notatki sporządzonej później wynika, że kobieta stawiała opór, ale i tak nie zniechęciło to Pepysa od wyegzekwowania długu wdzięczności. Tak samo wyglądały kolejne lata ich znajomości. Pani Bagwell prosiła, Pepys odwlekał załatwienie sprawy, w końcu zgłaszał się po rewanż. W odróżnieniu od zwią-



ku z Betty Martin, relacja Pepysa z panią Bagwell nosiła znacznie więcej znamion napastowania, a sam Pepys wcale nie ukrywał w swoim dzienniku, że jego wizyty u pani Bagwell nie zawsze były przez nią mile widziane, nie mówiąc o tym, że czasami odnosił się wręcz wrażenie, że dopuszczał się on wobec niej gwałtu.

Związek z panią Bagwell jest doskonałym przykładem na pewnego rodzaju niejednoznaczność w sytuacji Samuela Pepysa, widoczną także w kilku jego innych relacjach z kobietami. Chyba tro-

chę wbrew własnym intencjom, ujawnia nam w swoim dzienniku kulisy niektórych podbojów miłosnych. Kreując siebie na zdobywcę i pana sytuacji, zdawał się nie dostrzegać, że chwilami przestawało być oczywiste, kto był stroną wykorzystującą, a kto wykorzystywaną. Skłaniają do takiego wniosku wpisy w rodzaju: „(...) tego ranka miało miejsce bardzo przyjemne spotkanie z młodą mężatką przyprowadzoną do mnie przez jej ojca (...), która prosiła by nie wysyłać jej męża na morze” albo:

„przyszedł (...) stary Delkes (...) ze swoją córką Robins (...) zostawiając ją ze mną”, lub: „Zrobiłem co chciałem z panią Martin, a jej mąż poszedł po wino dla nas” czy wreszcie: „(...) byłem z umówioną wizytą u pani Bagwell (...) i zrobiłem z nią to z wielką rozkoszą (...). Po jakimś czasie jej mąż wrócił i nie zauważając nicze-

go zaczął rozmawiać o interesach (...)”. Mimo wysiłków wkładanych przez Pepysa w utrzymanie skoków w bok w jak największej tajemnicy przed żoną, jego reputacja w kręgach związanych z flotą musiała być jednoznaczna i doskonale wiadomo o jego słabości, perfidnie ją wykorzystując.

Tymczasem Elżbieta Pepys, żona Samuela, przez wiele lat pozostawała nieświadoma podwójnego życia jakie prowadził jej mąż. Tak przynajmniej wynika z relacji samego zainteresowanego, który zresztą nie szczędził starań, by

jego pozamałżeńskie przygody nie dotarły do oczu i uszu współmałżonki. Zabiegając o to, by Elżbieta nie zaczęła domyslać się jego skoków w bok, starał się, jeśli wierzyć jego świadectwu, okazywać jej jak najwięcej czułości i nie skąpił jej oznak miłości i przywiązania. Zauważyć można nawet pewną prawidłowość w zachowaniu Pepysa. Ilekroć dopuszczał się zdrady, niemal natychmiast próbował zrekompensować to niczego nie domyślającej się żonie kupując jej klejnoty, koronki i inne kobiece drobiazgi. Postawa tego rodzaju może świadczyć o tchórzostwie Pepysa, który nie będąc w stanie kontrolować seksualnego popędu, jednocześnie panicznie obawiał się konsekwencji, jakie dla jego małżeństwa mogło mieć ujawnienie sposobów, do których uciekał się próbując ów popęd zaspokoić. Z drugiej jednak strony, czytając dziennik Pepysa, odnieść można wrażenie, że zdolny był oddzielić w swojej świadomości miłość od pożądania, a jednocześnie miał głęboką świadomość grzeszności swego postępowania. Dlatego też serdeczność okazywana Elżbiecie mogła być nie tyle, albo nie tylko, tchórzliwym wybiegiem, ale także próbą zadośćuczynienia kochanej osobie za sprawiony jej zawód.

Oczywiście nie można wykluczyć, że kobieca intuicja podpowiadała Elżbiecie, że Samuel mógł mieć coś na sumieniu, tym bardziej, że doskonale zdawała sobie sprawę z własnych niedoskonałości w sferze intymnej. O ile wiadomo jednak, jej domysły tylko w jednym jedynym przypad-

ku przekształciły się w wiedzę. W 1668 r. nakryła męża na dośyc niewybrednych pieszczotach z młodą dziewczyną, Deb Willett, która od pewnego czasu zamieszkiwała u Pepysów i dotrzymywała towarzystwa pani domu. Wściekła i upokorzona, zmusiła Samuela by odesłał pannę, nie dawała mu spać wszczynając awantury w środku nocy, zagroziła, że odejdzie i ujawni Pepysowe łajdactwo „całemu światu”, przez pięć tygodni nie kąpała się i przestała dbać o wygląd, okładała męża pięściami i targała za włosy, groziła, że obetnie dziewczynie nos, wreszcie zmusiła Samuela by napisał list, w którym nazwał pannę Willett dziwką i zapowiedział, że nigdy więcej się z nią nie zobaczy. Pepys kajał się i przeproszał, obiecując poprawę i przysięgając wierność w miłości, a w dzienniku pisał, że gotów był na wszystko, byle tylko uspokoić Elżbietę i przywrócić dawny spokój w ich relacji. W ciągu kolejnych siedmiu miesięcy, aż do momentu zaprzestania spisywania dziennika, Pepys wydawał się rzadziej widywać z kochankami, a charakterystyczne fragmenty pisane mieszańką włoskiego, francuskiego i hiszpańskiego, odnoszące się do pozamałżeńskich erotycznych dokonań autora, niemal zupełnie znikły z jego notatek.

Na przestrzeni dziewięciu lat, w czasie których powstawał dziennik, romans z Deb Willett był jedynym odkrytym przez Elżbietę. Jej historyczna reakcja na związek, który tak naprawdę ograniczał się do ukradko-

wych pocałunków i intymnych dotknięć każe przypuszczać, że gdyby wiedziała jak daleko posuwał się jej małżonek w relacjach z innymi kobietami, nie zawałaby się odejść od niego, być może upokarzając go wcześniej publicznie. Wskazywałby na to jej krewki temperament i fakt, że raz już, na samym początku ich małżeństwa, rozczarowana nienajlepiej układającym się pożyciem, oddaliła się od męża na kilkanaście miesięcy, nie zważając na ówczesne konwenanse i społeczne oczekiwania wobec zamężnych kobiet. Ewentualną separację ułatwiałby z pewnością także fakt, że Pepysowie nigdy nie doczekali się potomstwa. Nie można też wykluczyć, że w ramach zemsty, Elżbieta sama wdałaby się w romans. Miałaby ku temu pewnie niejedną okazję, bo była kobietą atrakcyjną, lubiła flirtować, a w chwili złości ujawniła Samuelowi, że już wcześniej składano jej niedwuznaczne propozycje. Jeden z wujów Pepysa zaoferował nawet, że chętnie zostanie ojcem jej dziecka, skoro jego młody kuzyn nie był w stanie sobie z tym poradzić. Elżbieta heroicznie odrzucała zaloty innych mężczyzn, choć nie wiadomo czy po odkryciu niewierności męża jej determinacja nie uległaby osłabieniu. Samuel nie miał okazji przekonać się, czy żona odpłaciłaby mu się pięknym za nadobne za jego małżeńską zdradę. Elżbieta zmarła bowiem w 1669 r., kilka miesięcy po jego niefortunnej wpadce.

Jakkolwiek oceniać będziemy postawę Pepysa, jedno czego nie

można o nim powiedzieć to to, że nie odczuwał wyrzutów sumienia z powodu swojego postępowania. Na kartach dziennika w wielu miejscach odnajdziemy pełne skruchy: „(...) i bardzo się wstydzę tego, co zrobiłem” oraz urozyste przysięgi, że był to ostatni raz. Skrupuły dotyczyły zarówno faktu, że sprowadzał bezbronne kobiety na złą drogę, jak i tego, że zachowywał się nielojalnie wobec własnej żony. Jakkolwiek boleśnie odczuwał wyrzuty sumienia, mówi się jednak o Pepysie, że był jednym z tych, którzy łączyli w sobie nieprzebrane pokłady dobrych intencji i mikroskopijne ilości samodyscypliny. Regularnie czynione przez niego postanowienia zerwania z niemoralnymi nałogami, równie regularnie przegrywały konkurencję z perwersyjnym urokiem zakazanego owocu.

Ten prywatny konflikt sumienia i namiętności był w jakimś sensie odzwierciedleniem ścierania się wartości w post-republikańskiej Anglii, a indywidualna historia Pepysa nieuchronnie wpisywała się w burzliwe dzieje Restauracji. Po upadku rządów purytanów w 1660 r. nastąpiło gwałtowne rozluźnienie obyczajów, najpierw wśród dworskich elit, później także prowincjonalnej arystokracji. Etyka seksualnego libertynizmu w tych kręgach zakładała, że erotyczne podboje były jednym ze sposobów budowania i podtrzymywania męskiego honoru. Przykład idący z góry pociągał również znajdujących się na niższych szczeblach drabiny społecznej poddanych Karola II,

wychowanych wprawdzie, tak jak Pepys, na purytańskich ideałach powściągliwości, czystości obyczajów i walki przeciwko pokusom, ale skonfundowanych polityczną klęską systemu promującego ten system wartości. Nie oznacza to jednak, że seks pozamałżeński zyskał w tym okresie powszechną społeczną aprobatę. Choć w tzw. towarzystwie dużo plotkowało się na temat kochanek, kochanków i nieślubnych dzieci, w powszechnym odczuciu zdrada nadal zasługiwała na potępienie, pojawiły się nawet inicjatywy zmierzające do zaostrzenia prawa i konsekwentnego egzekwowania kar wobec niewiernych małżonków, zarówno kobiet jak i mężczyzn.

Idąc tym tropem, można także stwierdzić, że historia życia seksualnego Samuela Pepysa może być odczytywana w kontekście głęboko zakorzenionego w Anglii zjawiska tak zwanego podwójnego standardu. Prawo miało tendencję do znacznie łagodniejszego traktowania przypadków zdrady małżeńskiej popełnianej przez mężczyznę, podczas gdy kobieta wdająca się w pozamałżeńskie relacje karana była z całą surowością. Zdarzały się oczywiście procesy wytaczane mężom przez pokrzywdzone żony, które domagały się separacji, ale w XVII w. należały one do rzadkości. Nie uprawnia nas to jednak do założenia, że istnienie podwójnego standardu w sferze prawnej sprawiło, że kobiety automatycznie tolerowały, czy wręcz ignorowały niewierność swoich małżonków. Przykład Elżbiety i jej gwałtow-

na reakcja na nielojalność męża, a także bolesny konflikt sumienia, z jakim przez lata zmagał się sam Pepys, pokazują, że w każdej epoce wystawianie miłości małżeńskiej na tego rodzaju próbę było i jest przyczyną osobistych i rodzinnych dramatów.

Guzowska Dorota
guzowska@uwb.edu.pl

Bibliografia

Źródła:

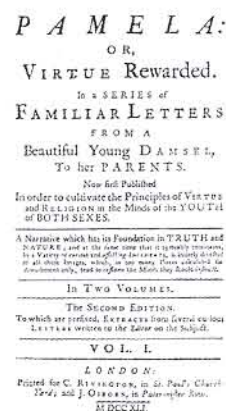
The diary of Samuel Pepys: a new and complete transcription, wyd. R. Latham and W. Matthews, London 1971-1983. Pełna wersja dziennika Samuela Pepysa jest dostępna również na stronie: <http://www.pepysdiary.com/>

Opracowania:

Bailey Joanne, *Unquiet Lives. Marriage and Marriage Breakdown in England, 1660-1800*, Cambridge 2003.
Foyster Elizabeth A., *Manhood in Early Modern England. Honour, Sex and Marriage*, Harlow 1999.
Gowing Laura, *Common Bodies. Women, Touch and Power in Seventeenth-Century England*, New Haven – London, 2003.
Stone Lawrence, *The Family, Sex and Marriage in England 1500-1800*, Londyn 1990.
Tomalin Claire, *Samuel Pepys. The Unequalled Self*, New York 2003.

Pamela i tryumf cnoty?

RADOSŁAW PONIAT



O publikowana w 1740 roku powieść „Pamela albo tryumf cnoty” natychmiast stała się wielkim triumfem wydawniczym. Choć była wyśmiewana przez innych literatów (Henry Fielding parodiował ją aż dwukrotnie) i atakowana za niemoralność przez część kaznodziejów, to zwykli odbiorcy z ogromnym entuzjazmem rozchwytywali kolejne wydania, zapewniając książce status niekwestionowanego bestsellera, a jej autorowi znaczny majątek i sławę. Dodatkową konsekwencją tego sukcesu stały się też istotne zmiany w zachowaniu części służących, które to zmiany stały się przyczyną zgryzot pracodawców i poważnych problemów niektórych młodych dziewcząt. Zanim jednak przedstawię wspomniane zjawisko, wypadłoby choć pobieżnie zapoznać czytelników niniejszego artykułu z akcją powieści tak niegdyś popularnej a całkowicie dziś zapomnianej.

Książka angielskiego drukarza Samuela Richardsona należy do popularnego w XVIII wieku gatunku określanego jako powieść epistolarna. Składają się na nią listy pisane przez główną bohaterkę do

jej rodziców oraz ich odpowiedzi. Początkowo mają one charakter zwyczajnej korespondencji, ale z czasem, gdy autorka listów traci nadzieję na ich wysłanie, przerażają się w coś na kształt wpisów do pamiętnika. Przedstawiają one losy piętnastoletniej Pameli, młodej służącej, która po śmierci swej pani pada ofiarą molestowania ze strony syna zmarłej pracodawczyni. Nieustannie próbuje on osiąść niewinną dziewczynę, a nawet posuwa się do próby gwałtu. Niestety Pamela, nieomal uwięziona w posiadłości pryncypała, musi nieustannie bronić cnoty. Dokonuje tego dzięki swej szczerości i uczciwości. Pamela przeciwstawia proste zasady moralne dziewczyny z plebsu rozwiązłości panicza. Broniąc cnoty powołuje się z jednej strony na religię i Biblię, ale potrafi też posłużyć się argumentami z zakresu etyki pracy służby domowej oraz obowiązków pracodawcy. Gdy to wszystko nie wystarcza, pozostaje jej jeszcze zawsze ostateczna tarcza w postaci dziewczęcej niewinności, a nawet omdlenie. Utrata przytomności ratuje Pamelę w najbardziej dramatycznym momencie powieści, kiedy to zostaje

już nieomal wzięta siłą przez swego pracodawcę i dopiero zemdle nie powstrzymuje go przed dokonaniem gwałtu. Heroiczna walka bohaterki w obronie cnoty zostaje wreszcie słusznie nagrodzona, gdy niedoszły gwałcieł, poruszony niewinnością i odwagą młodej służącej, porzuca swe nieczne zamiary i uręczony proponuje jej małżeństwo. Pamela oczywiście przyjmuje tak wspaniałomyślną propozycję i zamienia swój status molestowanej dziewczki z ludu na pozycję szanownej żony szlachcica. Końcowe fragmenty powieści poświęcone zostają więc wchodzeniu młodej małżonki w nowe środowisko oraz jej walce o akceptację ze strony rodziny męża. Co bardziej uważny czytelnik (lub po prostu odznaczający się większym cynizmem) może jednak dostrzec, że za przedstawioną w kolejnych listach obroną cnoty niewieściej ukrywa się jeszcze druga opowieść. Są to dzieje prostej dziewczyny z ludu, która choć broni swego dziewictwa, to równocześnie nie opuszcza miejsca pracy (co w takiej sytuacji byłoby jednak rozwiązaniem najsensowniejszym), a nawet subtelnie uwodzi pracodawcę. Zastosowana przez nią taktyka prowokowania połączonego z odmawianiem spełnienia okazuje się być niezwykle skuteczną i prowadzi do sukcesu w postaci zawarcia małżeństwa oraz związanego z nim awansu społecznego. Takiej interpretacji powieści dokonują nie tylko dzisiejsi jej czytelnicy, wychowani w cynicznej kulturze końca XX wieku, ale tak odczytywali ją

również niektórzy współcześni Richardsona, którzy zarzucali jego książce propagowanie niemoralności pod płaszczykiem cnoty.

Krytyczne uwagi części kaznodziejów nie zaszkodziły jednak (a może nawet wręcz pomogły?) popularności „Pameli”. Choć ogromna poczytność powieści może nieco dziwić dzisiejszego czytelnika, przyzwyczajonego do innego sposobu prowadzenia narracji i mającego problemy z eks cytowaniem się historią, której pozytywne zakończenie zostało już przyobiecane w tytule, to dla osiemnastowiecznych czytelników była ona czymś w stylu naszego „Harry’ego Pottera”. Stała się ulubioną lekturą tworzącej się wówczas klasy średniej, odnajdującej w powieści połączenie treści umoralniających (wszak mamy tu do czynienia z tryumfem cnoty) z seksem, bo choć dzięki heroicznej postawie bohaterki do niczego złego w końcu nie dochodzi, to jednak nie zmienia to faktu, że książka jest w rzeczywistości opisem usiłowania gwałtu.

Drugą niezwykle ważną grupą odbiorców stały się liczne młode dziewczęta, które podobnie jak Pamela pracowały w charakterze służących i marzyły o poprawie swego losu poprzez małżeństwo. Jeśli wierzyć krytykom powieści Richardsona, istnienie takich osób zostało dostrzeżone także przez niektórych pryncypałów, padających ofiarą rozbudzonej wyobraźni zatrudnianych kobiet. Dla części służących „Pamela” stała się bowiem czymś więcej niż tylko lekturą i zaczęła pełnić rolę

poradnika. Trzeba zresztą przyznać, że początkowym zamiarem Samuela Richardsona było właśnie stworzenie czegoś na kształt naszych książek ze wskazówkami życiowymi. Planował on publikację poradnika dla służących i dopiero w miarę pisania zmienił plany i przerobił go na powieść. Jaki by jednak nie był kształt niedoszonego dzieła Richardsona, z całą pewnością nie miał on zawierać wskazówek, które z lektury „Pameli” czerpały niektóre służące. Uznały one bowiem powieść za instruktarz uwodzenia i doprowadzenia pracodawców na ślubny kobierzec. W związku z tym część z nich postanowiła wziąć swój los w swoje ręce i w myśl wzorca zaprezentowanego w książce podjąć próbę dokonania spektakularnego awansu społecznego dzięki małżeństwu. Ponieważ jednak cnota może zabłysnąć pełnym blaskiem dopiero wtedy gdy jest atakowana, w niektórych przypadkach konieczne stawało się najpierw zachęcenie pracodawcy do podjęcia załotów, aby potem móc im się heroicznie opierać. Nie trzeba chyba dodawać, że taka taktyka, choć świetnie sprawdzała się na kartach powieści, nie zawsze okazywała się równie skuteczna w praktyce. Zaś konsekwencje niepowodzenia w jej realizacji, przede wszystkim w postaci nieplanowanych ciąży, spadały oczywiście niemal wyłącznie na służące.

Trudno oczywiście sugerować, że zjawisko relacji seksualnych pomiędzy panami i służbą pojawiło się dopiero wraz z wyda-

niem „Pameli”. Problem ten istniał już znacznie wcześniej, a o jego istnieniu przekonać może chociażby uważna lektura niektórych historii biblijnych. Także w czasach nam bliższych było to zjawisko stosunkowo częste. Władza pracodawcy nad służącymi (i ich ciałami) postrzegana była przede wszystkim jako władza głowy gospodarstwa domowego nad jego członkami, a nie dzisiejsza relacja pracodawca-pracownik. Dawało to panom możliwość żądania od zatrudnianych kobiet świadczenia usług seksualnych. Młoda dziewczyna osamotniona w domu pracodawcy i pozbawiona opieki ze strony własnej rodziny stawała się często łatwą ofiarą swego pryncypała lub innych członków gospodarstwa. Co więcej, paradoks systemu prawnego powodował, że osobą odpowiedzialną za jej bezpieczeństwo i do której przede wszystkim należało zwracać się po opiekę był właśnie pracodawca. Gdy dodamy do tego jeszcze sądy mające skłonność do przywiązywania większej wagi do zeznań świadków o wyższej pozycji społecznej, trudno się dziwić, że większość spraw o gwałty na służących, toczących się w latach 1674-1834 przed londyńskim sądem kryminalnym Old Bailey kończyło się uniewinnieniem podejrzanych.

O dostrzeganiu przez współczesnych Richardsonowi niebezpieczeństw związanych z wykorzystywaniem seksualnym służących świadczyć mogą chociażby poradniki i książki nabożne skierowane do tej grupy zawodowej, w któ-

rych wielokrotnie podnoszona była kwestia niedopuszczalnych zachowań pracodawców w stosunku do zatrudnianych kobiet. Zalecano więc daleko posuniętą ostrożność, unikanie zbyt dobrze brzmiących i przez to podejrzanych ofert pracy, przeprowadzanie czegoś na kształt wywiadu środowiskowego. Gdy jednak pomimo zastosowania tych środków (lub właśnie w wyniku ich niezastosowania) pracodawca zaczynał zagrażać cnotcie służącej zalecano jak najszybsze porzucenie zatrudnienia. Konieczność taką uznawały także obowiązujące w XVIII i XIX w. kodeksy prawne, które zezwalały w takim wypadku na natychmiastowe i bezkarne rozwiązanie stosunku pracy. Postawa prawodawcy, z reguły nieskorego do tworzenia przepisów korzystnych dla nieuprzywilejowanych grup społecznych, staje się w pełni zrozumiała gdy weźmiemy pod uwagę możliwe konsekwencje zajścia przez służącą w ciążę. Pojawienie się nieślubnego dziecka stanowiłoby dowód na jej rozwiązłość i oznaczałoby natychmiastowe zwolnienie z pracy bez listów polecających. W takiej sytuacji samotna matka utraciłaby jedyne źródło utrzymania i jako kobieta upadła nie mogłaby liczyć na nowe zatrudnienie. Co charakterystyczne, niemal całe odium spadało na kobietę, a nie na ojca. Trudno się więc dziwić, że w przypadku niechcianej ciąży służące starały się jak najdłużej ukrywać ten fakt przed pracodawcami i podejmowały często działania zmierzające do potajemnego spędzenia pło-

du lub zabicia nowonarodzonego dziecka. Zjawisko to widać chociażby na przykładzie Bretanii, gdzie wśród 581 dzieciobójczyń stających przed wymiarem sprawiedliwości w latach 1825-1865 prawie 40% to służące. Na moralne niebezpieczeństwo pracy w charakterze służącej wskazują również wyniki urzędowej ankiety przeprowadzonej wśród prostytutek zamieszkujących ziemie Królestwa Polskiego w końcu XIX w. Wynika z niej, że aż połowa z tych pań pracowała wcześniej jakiś czas właśnie w charakterze służącej. Choć sama ankietka nie pozwala na wysnuwanie takich wniosków, to zestawiając ją z ówczesną publicystyką, możemy domyślać się, że w większości przypadków mamy tu do czynienia z kobietami, które w wyniku niechcianego zajścia w ciążę utraciły możliwość wykonywania dotychczasowej pracy i z konieczności musiały parać się najstarszym zawodem świata.

W świetle tego wszystkiego trudno się dziwić niepokojowi jaki u części kaznodziejów oraz moralistów wywoływała lektura „Pameli” i związana z tym obawa o los służących mniej szczęśliwych (lub może mniej biegłych) w sztuce uwodzenia pracodawców od głównej bohaterki. Była to bowiem gra niezwykle niebezpieczna, w której każdy fałszywy krok mógł doprowadzić nie tylko do utraty cnoty i, co za tym idzie, stania się kobietą upadłą, ale także nadziei na zbawienie wieczne. Wydaje się jednak, że w przypadku większości dobrze urodzonych krytyków powieści Richardsona główne oba-

wy dotyczyły nieco innej kwestii. Ich niepokój budziła nie tyle wizja współżycia seksualnego pomiędzy panem a służącą, co raczej pomysł zawarcia przez nich małżeństwa. Widzieli oni w „Pameli” przede wszystkim historię mezaliansu i coś na kształt międzyklasowej love story obrażającej ich poczucie społecznego ładu. Opowieść czynił szczególnie nieprzyjemną fakt, iż takie małżeństwa zaczynały być coraz bardziej możliwe. I to nie tylko w obszarze literatury popularnej, rozwijającej się bujnie w XVIII-XIX w. dzięki postępującej alfabetyzacji, ale także w realnym świecie społeczeństwa podlegającego gwałtownej transformacji wywołanej przez rewolucję przemysłową.

Radosław Poniat
r.poniat@gmail.com

Bibliografia

Źródła:

Richardson Samuel, *Pamela or virtue rewarded*, London 1785.

Opracowania:

Hill B., *Servants. English domestics in eighteenth century*, Oxford 1996.
Sikorska-Kulesza J., *Zło tolerowane. Prostytucja w Królestwie Polskim w XIX wieku*, Warszawa 2004.
Tillier A., *Des criminelles au village. Femmes infanticides en Bretagne (1825-1865)*, Rennes 2001.
www.oldbaileyonline.org - pełny zbiór akt sądu kryminalnego Old Bailey z lat 1674-1834

W listopadzie 1860 r. Abraham Lincoln został wybrany 16-tym prezydentem Stanów Zjednoczonych. W odpowiedzi na to, 20 grudnia 1860 r. legislatura Karoliny Południowej zerwała unię łączącą ją z innymi stanami. W ślad za nią kolejne sześć stanów Południa ogłosiło wystąpienie z Unii (secesję). Dnia 4 lutego 1861 r. w Montgomery (Alabama), przedstawiciele zbuntowanych stanów utworzyli nowe państwo – Skonfederowane Stany Ameryki (Konfederację). Na jego czele stanął prezydent Jefferson Davis. W 1861 r. „punkt zapalny”, od którego wyszła iskra wojny, stanowiło miasto Charleston w Karolinie Południowej. Na jego terenie znajdowało się kilka fortów federalnych. Lincoln chciał sprokować konflikt i 4 kwietnia 1861 r. publicznie zapowiedział wysłanie pomocy drogą morską garnizonowi stacjonującemu w Fort Sumter. 12 kwietnia 1861 r. o godzinie 4.30 zagorzały secesjonista Edmund Ruffin, pociągając za sznur spustowy działa, rozpoczął wojnę domową. Na wieść o tym Lincoln 15 kwietnia 1861 r. zaapelował o pobór 75 tysięcy ochotników. To posunięcie spowodowało wystąpienie z Unii kolejnych czterech stanów, które nie chciały podnosić oręża na swoich rodaków z Południa. Rozpoczęła się wojna, która w ciągu czterech lat (1861 – 1865) pochłonęła ponad 600 tysięcy ofiar (więcej niż we wszystkich innych wojnach toczonych przez USA łącznie).

Seks bez miłości i wojna (secesyjna)

ŁUKASZ NIEWIŃSKI

Wojna secesyjna sprawiła, że, częściej, niż w latach pokoju, uprawiano seks bez miłości. W konsekwencji doprowadziło to do licznych przestępstw i rozprzestrzenienia się chorób wenerycznych. W niniejszym artykule pragnę jedynie zasygnalizować niektóre drażliwe kwestie obyczajowe i prawne związane z tematyką seksu w czasie trwania tego konfliktu.

Seks przedmałżeński i pozamałżeński

Socjolog Daniel Smith w artykule z 1978 r. opublikował badania rejestrów dzieci pozamałżeńskich na przykładzie dwóch miast Nowej Anglii (stany północno-wschodnie). Według niego w 1650 r. było ich 8%; w 1700 r. - 15%; w 1840 r. - 10%, pod koniec trwania wojny domowej (1865 r.) wzrosła do 25%. Wojna sprzyjała więc większemu rozluźnieniu obyczajów. Notowano liczne przypadki, kiedy to wracający do swoich domów weterani zastawali małżonki z dodatkowym (nowym) potomstwem. Oprócz wzrostu liczby zdrad małżeńskich drastycznie zwiększyła się liczba

par, które ze względu na wybuch wojny rozpoczynały współżycie przed zawarciem związku sakramentalnego. Działo się tak zarówno w purytańskich stanach Nowej Anglii (np. Massachusetts, Pennsylvania), jak i w tradycyjnych stanach Południa (np. Virginia, Georgia).

Pornografia

Wśród żołnierzy oddalonych od swoich rodzin i domów popularnością cieszyły się wydawnictwa pornograficzne. O wielkich ilościach obscenicznych broszurek krążących wśród żołnierzy, wspominali w swoich pamiętnikach zarówno szef żandarmerii północnej Armii Potomaku – Marse-na Patrick, jak i szef tajnych służb wszystkich sił Unii – płk Lafayette Baker. Liczne firmy postanowiły zrobić majątek, dostarczając dla wojska (oczywiście nielegalnie) materiały tylko dla dorosłych. Jednym z takich przedsięwzięć była firma G.S. Hopkins and Co. z Nowego Jorku. Jej katalog zawierał 23 tytuły książek o treści więcej niż erotycznej np. „Fanny Hill”, „Oczarowanie Libertyna”, „Prostytucja w Paryżu” czy „Żeń-

skie Organy Rozrodcze". Koszt jednej pozycji wynosił 1\$. Z kolei za 50 centów można było mieć jedną z dziewięciu broszur, wybierając z takich tytułów jak: „Mażeńskie Łoże”, „Sekretne Pasje”, „Francuska Kurtyzana” czy „Fizjologia Miłości”.

Firma oferowała ponadto teksty sprośnych piosenek, francuskie tabakierki w kształcie kobiecych piersi, znaczki karty, karty do gry z wizerunkami nagich pań, fałszywe brody, trzy typy prezerwatyw i stereoskopowe obrazki aktów kobiecych po 9\$ każdy. W armii Północy szeroko rozpowszechnione były *carte de visite* - karty wizytowe, a więc niewielkie fotografie, przedstawiające, oprócz zwyczajowych wizerunków żołnierzy, także liczne akty kobiece, mężczyznę i kobietę w sytuacjach intymnych, a czasami także (co było surowo karane) sceny homoseksualne z udziałem kobiet lub mężczyzn. Nosili tytuły takie jak: „Fotografia z sypialni, jedynie dla dżentelmenów”, „Kwiat Pasji”, „Błąd Natury” itp. Za każdą taką wizytówkę żołnierz musiał zapłacić \$3. Należy przy tym zaznaczyć, że zwyczajowy żołd miesięczny szeregowca wynosił ok. \$ 12. Liczni fotografowie, podążający za wojskami obu stron, prowadzili zyskowny interes nie tylko fotografując żołnierzy (dla których była to cenna pamiątka, wysyłana do domów), ale i sprzedając zdjęcia pornograficzne.

Prostytucja

W latach wojny secesyjnej nastąpił czas prosperity zawodu pro-

stytutki. Setki tysięcy mężczyzn przebywających z dala od rodzinnych domostw stanowiło ogromną rzeszę ich potencjalnych klientów. Córy Koryntu przebywały zawsze tam, gdzie znajdowały się duże skupiska ludności i wojska, okupowały stolice obu państw - Washington i Richmond, objęły w posiadanie inne miasta Południa, zajęte przez armię Północy np. Nashville czy Memphis. W Waszyngtonie przybytki rozkoszy znajdowały się głównie przy Alei Morderców (Murder Bay) nad kanałem. Nazwy takich domów schadzek jak: „Fort Sumter”, „Kwatera Główna”, „Własność Diabła” czy „Niebieska Gęś” były znane prawie każdemu żołnierzowi Północy.

W 1862 r. było zarejestrowanych w stolicy 450 lupanarów, a jak w 1863 r. donosiła prasa działało tam ponad 5000 „księżniczek nocy”. Liczby te nie są oczywiście pełne.

W rzeczywistości wiele domów publicznych działało nielegalnie, a same prostytutki często pracowały „dorywczo”. W stolicy Południa nie było jednej dzielnicy rozpusty. Istniało tam kilka miejsc, gdzie mężczyźni mogli dać upust swoim żądom. Miejsca te były usytuowane w rozmaitych dzielnicach, co wiązało się zarówno z różnicami w klasie prostytutek, jak i stopniem zamożności ich klientów.

Przed wojną w Nashville (Tennessee) usługi swe oferowało 207 prostitutek. 25 lutego 1862 r. miasto zajęte zostało przez wojska Unii i stało się jedną z głównych baz, z których prowadzono

działania wojenne na zachodnim froncie wojny secesyjnej. W rejonie Nashville stale przebywało przynajmniej 30 000 ludzi w jankeskich uniformach. Nic dziwnego, że liczba prostitutek zwiększyła się, doprowadzając do alarmującego wzrostu zachorowań na choroby weneryczne. Zagrożenie tymi przypadłościami w Nashville spowodowało rozpoczęcie w 1863 r. lekarskiego badania prostitutek. W mieście działały 23 szpitale wojskowe, z których jeden przeznaczono dla zainfekowanych kurtyzan. Jednocześnie przebywało w nim nawet do kilkuset kobiet.

W lipcu 1863 r. w Nashville po raz pierwszy w dziejach Stanów Zjednoczonych zalegalizowano prostytucję. Projektodawcą był ppłk George Spalding, szef miejskiej żandarmerii. Według jego systemu każda prostytutka, aby legalnie uprawiać swój zawód, musiała kosztem \$5 uzyskać certyfikat pozwalający jej na kupczenie swoimi wdziękami. Drugim, oprócz rejestracji, warunkiem były cotygodniowe badania lekarskie. Kobiety złapane na nielegalnym nierządzie były poddawane karze aresztu co najmniej na 30 dni. Eksperyment się udał, gdyż np. w grudniu 1864 r. przyjęto 2300 mężczyzn do szpitala chorób wenerycznych, z których tylko 30 zakażyło się w Nashville. We wrześniu 1864 r. prostytucję zalegalizowano jeszcze w jednym mieście - Memphis. W pozostałych miastach eksperyment nie znalazł zwolenników. Kiedy na początku lipca 1863 r. wspomniany plk. Spalding posta-

nowił deportować około 150 miejskich kurtyzan do Louisville (Kentucky), załadował je na prywatny, ale wypożyczony wojsku, statek parowy „Idahoe” kpt. Johna Newcomba. Wieść o „ładunku” szybko się rozeszła i władze Louisville nie zgodziły się na zejście ulicznic na stały ląd. Biedny kapitan był zmuszony pływać kilka razy w tę i z powrotem, zanim po prawie miesiącu uwolniono go od zbędnego balastu w tymże samym Nashville. John Newcomb stracił ponad \$5000 na wyżywienie pań lekkich obyczajów. Pieniądże odzyskał dopiero po zakończonej wojnie. Wraz z ustaniem konfliktu zakończono eksperymenty z legalizacją prostytucji.

Choroby weneryczne

Ze zjawiskiem prostytucji bezpośrednio związany był problem rozprzestrzeniania się chorób wenerycznych. Stan ówczesnej medycyny nie znał żadnego skutecznego lekarstwa na te przypadłości. Nie zostały jeszcze wynalezione antybiotyki, nie chlorowano wody, nie przywiązywano zbyt dużej uwagi do higieny, w tym także intymnej. W tamtych czasach królowało upuszczanie krwi, amputacje i - jako środek znieczulający - whiskey (choć znano już np. chloroform). Nie wiele wiadano na temat bakterii i rozprzestrzenianych przez nie chorobach. Dopiero w 1905 r. zidentyfikowano mikroskopijne organizmy przenoszące syfisy. Pierwsze niezbyt skuteczne leki pojawiły się dopiero w 1910 r. Rzeżączki przenoszonej przez bak-

terie (zidentyfikowane w 1879 r.) nie można było efektywnie leczyć przed wynalezieniem penicyliny w 1945 r. Podobnie było z limfodiarnistą chorobą weneryczną. Wszystkie trzy choroby występowały więc w latach wojny secesyjnej. Leczone je wtedy nieskutecznie m. in. za pomocą silnych dawek chlorku potasu, wcierania sproszkowanego magnezu i diety. „Medical and Surgical History of the War of the Rebellion” podaje następujące dane dotyczące chorób wenerycznych wśród żołnie-



Żołnierz Unii w trzecim stadium syfilisu

rzy federalnych: „W armii Północy zanotowano w czasie trwania wojny 73382 przypadki syfilisu i 109397 przypadków rzeżączki. Choroby te wraz z limfodiarnistą chorobą weneryczną, często mylono, zestawiano ze sobą lub łączono ich objawy. Wszystkie typy chorób wenerycznych dawały wskaźnik 82 przypadków zakażenia na każdy tysiąc żołnierzy unijnych w ciągu jednego roku”.

Najwyższy wskaźnik zachorowań (200 przypadków na tysiąc żołnierzy) przypadał na jednostki

stacjonujące na Dalekim Zachodzie - w Kalifornii i w Nowym Meksyku. Wiązało się to z ograniczoną liczbą prostitutek przypadających na określoną jednostkę wojskową. W przypadku, gdy taka córka Koryntu była nosicielką choroby wenerycznej, jej ofiarą stawała się większa część garnizonu, gdyż jej wdziękami „cieszyli się” wszyscy żołnierze.

Jeżeli do wszystkich żołnierzy armii Unii dodamy kobiety, których nikt nie ewidencjonował, to jest kurtyzany oraz zakażone przez żołnierzy żony lub narzeczone, możemy otrzymać nawet 400 000 nosicieli chorób wenerycznych. Brak jest podobnych danych jeśli chodzi o przypadki chorób wenerycznych w wojskach Konfederacji, ale wydaje się, że mogły być one na podobnym poziomie jak w armii Unii, co ogółem mogłoby w skrajnym przypadku podnieść liczbę nosicieli chorób wenerycznych do 800 000! I to tylko w ciągu czterech lat wojny. Należy przy tym nadmienić, że nie wszystkie objawy chorób wenerycznych były widoczne od razu. Do tego dochodził wstyd przed ich ujawnianiem oraz nieświadomość medyczna Amerykanów. Wielu weteranów wojny secesyjnej zmarło więc po zakończeniu walk w wyniku rozwoju późnych stadiów chorób przenoszonych drogą płciową.

Przestępstwa seksualne

Niebezpieczny okres wojny domowej sprzyjał popełnianiu licznych przestępstw o charakterze seksualnym. Popełniali je

zarówno oficerowi, jak i szeregowi żołnierze obu armii. 14 grudnia 1863 r. pijany podporucznik kompanii I 39-go pułku piechoty armii Północy odwiedził dom pani Spence (Roakcastle Creek, hrabstwo Lawrence, Kentucky). Znieważył ją w jej domu składając niedwuznaczne propozycje. Wkrótce uczynił to samo w domu pani Russell, której mąż był kapitanem 45-go pułku piechoty Kentucky. Najpierw złożył lubieżne propozycje córce pani Russell, która zdołała zbiec. Następnie to samo uczynił pani domu, którą na koniec usiłował zniewolić. Kobietę uratowało dwóch mężczyzn, przechodzących koło jej domu. Podporucznik został aresztowany 19 grudnia 1863 r. Proces rozpoczął się w marcu 1864 r. Zarzucono mu: intencje do popełnienia zgwałcenia, zachowanie niegodne oficera i dzentelmena oraz pijanństwo na służbie. Oficer ów zo-

stał uznany za winnego zarzutów i zdegradowany do stopnia szeregowca. Pozbawiono go całego żołdu i wydano z armii. Ponadto został skazany na trzy lata ciężkich robót w więzieniu na Tortudze (Florida) z kulą i łańcuchem u nogi. W warunkach frontowych sprawcom gwałtów groziła kara śmierci. W sumie dwudziestu czterech żołnierzy Unii zostało straconych za zgwałcenie lub usiłowanie jego dokonania. Połowa z nich należała do murzyńskich regimentów. Wyroki śmierci wykonano w połowie przez rozstrzelanie i powieszenie.

Nieznana jest dokładna liczba żołnierzy Konfederacji straconych za to samo przestępstwo. Tylko dwóch białych żołnierzy zostało straconych za zgwałcenie lub usiłowanie zgwałcenia Murzynek. Nie znaczy to, że przestępstwo to dotyczyło tylko białych kobiet. O ile skargi składane przez białe kobie-

ty były rzadko spotykane (m.in. ze względu na wstyd, utratę czci i statusu damy), o tyle Murzynki takich skarg nie składały prawie wcale. Zresztą według obowiązujących na Południu w stosunku do niewolników przepisów, zgwałcenia Murzynki nie traktowano jako przestępstwa. Można stwierdzić z dużą dozą prawdopodobieństwa, że przypadki zgwałceń czarnych kobiet i to zarówno przez żołnierzy Unii i Konfederacji były o wiele liczniejsze niż kobiet białych. Jeden z takich przypadków opisał w swoich wspomnieniach z czasów wojny szeregowiec Louis F. Kakuske: „Kiedy jako jeńiec wojenny maszerowałem z innymi do Shreveport (Louisiana), byliśmy konwojowani przez trzech rebeliantów. Po zatrzymaniu się na posiłek, ci trzech rebelianci odkryli niewolnicę, całkiem jeszcze atrakcyjną. Rozkazali, żeby podeszła bliżej. Każdy z nich, po kolei gwałcił błagając o pomoc czarnulkę. Kiedy oni ukoili swoje pragnienia, zwrócili się do mnie. Jeden z nich rzekł: Teraz twoja kolej Jankesie. Odmówiłem a kobieta uciekła we łzach”.

Ogólnie zgwałcenie było bardzo poważnym zarzutem, ale nie zawsze kończyło się wydaniem wyroku śmierci dla jego białych sprawców. Murzyni, nawet tylko podejrzani o usiłowanie zgwałcenia, bez wyjątku byli traceni. Przykładem jest tu William Johnson szeregowiec kompanii E 23-go kolorowego pułku piechoty, który usiłował zgwałcić białą mieszkankę Południa, za co zawisną na szubienicy 20 czerwca 1864 r.



Egzekucja Williama Johnsona oskarżonego o próbę zgwałcenia białej kobiety

Przypadki z życia generałów

Najwyżsi oficerowie obu armii także nie byli wolni od słabostek związanych z intymną sferą życia. Generał major armii Południa Earl Van Dorn był bohaterem akcji spalania bazy zaopatrzeniowej jednej z armii Północy generała Ulissesa Simpsona Granta w Mill Springs. Generał był nie tylko sławny z udanych rajdów kawaleryjskich, ale i z podbijania serc niewieścich. Czynił to jednak mniej skutecznie, gdyż 7 maja 1863 r. został zastrzelony przez zazdrosnego



męża w swojej własnej kwaterze. Z miłosnych przygód znany był też inny konfederacki kawalerzysta – generał major J.E.B. Stuart. Z kolei generał brygady Rufus C. Barringer miał syna z czarną niewolnicą. Jeszcze inny generał Południa – Edward Johnson oświadczał się każdej napotkanej przez siebie kobiecie. Złożył takich propozycji matrymonialnych blisko tysiąc i do śmierci pozostał... kawalerem!

Lepiej udokumentowane są historie generałów Unii, z których trzech wybijało się w tej dziedzinie ponad przeciętność.

Generał major Joseph Hooker „Waleczny Joe” ukończył Akademię Wojskową w West Point w 1837 r. Uczestniczył w wojnie z Meksykiem (1846-1848). Już tam zasłynął z przygód miłosnych. Pomagała mu w tym uroda, która pociągała kobiety tamtych czasów. W czasie wojny domowej w 1861 r. dowodził dywizją stacjonującą na przedmieściach Waszyngto-



nu. Skoncentrował on wszystkie prostytutki stolicy na tzw. Washington Murder Bay. Okolice te – od nazwiska ich twórcy – zaczęto zwyczajowo nazywać „Hooker's Division”. Owa dzielnica przetrwała bez większych zmian do 1914 r., kiedy to została zlikwidowana. Niektórzy współcześni gen. Hookerowi uważali, że określenie cór Koryntu jako „hookers” pochodziło od jego nazwiska.

Generał major Hugh Judson Kilpatrick ukończył West Point

w maju 1861 r. Służył w czasie wojny w licznych jednostkach kawalerii. Ze względu na swoją przebojowość i odwagę szybko awansował. Potrzebował jednak stałej obecności kobiet u swego boku. W trakcie służby woził ze sobą rozmaite „towarzyszki życia” przebrane dla niepoznaki w męskie mundury. Uciechy z „podwładnymi” nie przeszkadzały mu w pisaniu niezwykle ciekawych i romantycznych listów do swojej małżonki. W marcu 1865 r., po ataku kawalerii konfederac-



kiej na jego kwaterę, generał Kilpatrick uciekał z łóża w samych kalesonach. Jak tłumaczył, nieco wcześniej oddawał się miłosnym igraszkom i dlatego nie zdążył założyć nic innego. Swoją osobistą sztandar ukrył pod garderobą u towarzyszącej mu panny Alice (znanej jako „Charlie”). Dzięki temu sztandar został ocalony. Po wojnie Judson Kilpatrick był m.in. dwukrotnie ambasadorem USA w Chile. Jego atencja ku płci pięknej nie zmalała.



Benjamin F. Butler, generał major, popularnie zwany „Bestią”, został w kwietniu 1862 r. gubernatorem zdobytego Nowego Orleanu. Większość dam z Południa mieszkających w tym mieście była wrogo nastawiona do północnych okupantów. Zdarzały się przypadki publicznego obnażania się niewiast, manifestujących swój stosunek do gen. Butlera. Wyżsi oficerowie Północy bywali także znieważani przez kobiety załatwiające swoje potrzeby fizjologiczne z balkonów, pod którymi oni przechodzili. W odpowiedzi



na takie akty wrogości generał Butler wydał sławetny rozkaz nr 28 z 15 maja 1862 r.: „Jako że oficerowie i żołnierze Stanów Zjednoczonych stali się w Nowym Orleanie przedmiotem powtarzających się zniewag ze strony kobiet (nazywających siebie damami), z uwagi na jak najbardziej skrupulatne postępowanie i kurtuazję z naszej strony, rozkazuje się, że od tej pory, kiedy jakkolwiek kobieta, słowem, gestem, ruchem, zniewagą lub okazaniem pogardy lub żołnierza Stanów Zjednoczonych, będzie postrzegana i odpowiednio traktowana jak ulicznica, uprawiająca swój zawód”.

Wojna secesyjna, jak każda wojna, oprócz śmierci, ran i zniszczeń oraz licznych wynalazków wojсковych przyniosła także zmiany w obyczajowości Amerykanów. Przemiany te dotyczyły także sfer intymnych. Rozluźnienie obyczajów wiązało się z upowszechnieniem seksu przedmałżeńskiego, zdrad małżeńskich, pornografii, prostytucji, chorób wenerycznych, przestępstw seksualnych, ale i legend (lub faktów) związanych z wyższymi oficerami obu stron konfliktu. Po wojnie nastąpił jednak okres pokoju i wszelkie wymienione skrajności uległy osłabieniu. Co nie znaczy, że zniknęły na dobre.

Łukasz Niewiński
rebeliant63@wp.pl

Bibliografia:

Blanton D. A., Cook L. M., They Fought Like Demons. Women Sol-

diers in the American Civil War. Baton Rouge 2002;

Bunch J. A., Roster of the Courts-Martial in the Confederate States Army, Shippensburg 2001;

Bunch J. A., Military Justice in the Confederate States Armies, Shippensburg 2000;

Herndon H., Doctors in Gray: The Confederate Medical Service, Baton Rouge 1993;

Johnson E. C., Johnson G. R., Johnson W. M., All Were Not Heroes. A Study of "the List of U.S. Soldiers Executed by U.S. Military Authorities During the Late War", Chicago 1997;

Keith W. C., Civil War Medicine, Guilford. 1998;

Lowry T. P., The Story the Soldiers Wouldn't Tell. Sex in the Civil War, Mechanicsburg 1994;

Worthington A. G., Doctors in Blue: The Medical History of the Union Army in the Civil War, Baton Rouge 1996.

Źródło ilustracji:

Library of Congress
www.loc.gov

On

Włodzimierz Wysocki, aktor Moskiewskiego Teatru Dramatu i Komedii na Tagance (legendarna rola Hamleta), aktor filmowy, ale przede wszystkim poeta, pieśniarz, niezwykle popularny w całym Związku Radzieckim. Syn oficera i tłumaczki z języka niemieckiego.

Ona

Marina Vlady (właściwie Marina Catharine de Poliakoff-Baidaroff), znana francuska aktorka filmowa, córka rosyjskich emigrantów, ojciec (lotnik, ale także śpiewak operowy) trafił w 1915 r. do Francji, matka (tancerka, wychowanka Instytutu dla szlachcianek w Smolnym) znalazła się tam w kilka lat później.

Miejsce spotkania

Moskwa, prawdopodobnie lipiec 1967 r. Wersji dotyczących okoliczności spotkania jest co najmniej kilka, zostawmy jednak detale w spokoju, bo nie one są tu najważniejsze. Oboje byli wówczas ludźmi prawie trzydziestoletnimi, jakby powiedziała Agnieszka Osiecka - „po przejściach i z przeszłością”, pozostającymi w formalnych związkach, rodzicami (Marina była matką trzech synów, Włodzimierz - ojcem Arkadija i Nikity, dziś dyrektora Muzeum Włodzimierza Wysockiego w Moskwie).

Piosenka liryczna

Tu jodeł ramiona na wietrze wciąż drżą,
Trwożliwie szczebioczą tu ptaki,
Baśniowy matecznik to wieczny twój dom

Włodzimierz i Marina, czyli romans ponad żelazną kurtyną

ALINA CZAPIUK

- Wydostać się stąd nie potrafisz.
Cóż, czeremcha samotna z żalości niech schnie,
Niech jak deszcze bzu łzy opadają,
Wszystko jedno - natychmiast zabieram stąd cię
Do pałacu, gdzie flety nam grają!
Twój las czarnoksiężnik na zawsze chciał skryć
Przedemną zatopić w przestrzeni,
By nikt ci nie dowiódł, że można też żyć
Szczęśliwie poza tym schronieniem.
Cóż, rosa na liściach przed świtem niech schnie
I niech księżyc z chmurami trwa w sporze,
Wszystko jedno - natychmiast zabieram stąd cię,
Upatrzyłem już domek nad morzem.
O której godzinie, którego dnia chcesz
Ostrożnie wyjść mi na spotkanie,
Gdy wreszcie mógł będę na rękach cię nieść
Do miejsca, gdzie ze mną zostaniesz?
Porwę cię, jeśli wolisz, lecz sygnat mi daj,
Sił już brak - inni krócej czekają.
Przecież nawet w szalacie możemy mieć raj
Jeśli pałac i domek ktoś zajął.

Tłum. Bogusław Wróblewski

Dla Mariny Vlady, traktowanej w Kraju Rad jak prawdziwa, wielka gwiazda (ciekawe, że tam - głównie dzięki filmowi „Czarownica” - znano ją znacznie bardziej, niż u nas, gdzie w połowie lat 60-tych królowała już niepodzielnie Brigitte Bardot) pobyt w Moskwie był życiem nie tyle w owym „sza-

łasie”, ile w „pałacu”, czy przynajmniej „domku”. Równocześnie był powrotem do rodzinnych korzeni.

Wychowana na rosyjskiej literaturze, obyta z rosyjską kulturą pisała - „(...) żyję wśród malarzy, artystów, pisarzy. Wszyscy się znają, często spotykają, bezustannie wymieniają opiniami... To moje szczęście: zawsze lubiałam przyjmować wesołą bandę przyjaciół... Po rosyjsku mawiają - „kompania”, co brzmi znacznie ładniej... Godzinami przebywają ze sobą, nie nudzą się, filozofują przy „kieliszku wina”... potem gitara, pieśni... - by po wielu latach, w wywiadzie dla francuskiej gazety „L'Express” dodać: Wołodia był dla mnie ucieleśnieniem Rosji. Ja w nim kochałam Rosję (...).”

W 1969 r. przywiozła do Leningradu swoją mamę, która mogła (nareszcie, bo po blisko pięćdziesięciu latach nieobecności) chodzić po tak dobrze znanych sobie ulicach. Poznała ją też z Włodzimierzem. Po latach pisała: „Kiedy zjawiasz się, onieśmielony, zapada milczenie, podchodzisz do matki, przedstawiasz się, potem jak szalony rzucasz mi się w obję-

cia. Nie możemy ukryć wzruszenia. Matka mówi mi szeptem: „Co za uroczy chłopiec i jak ładnie się nazywa(...)”.

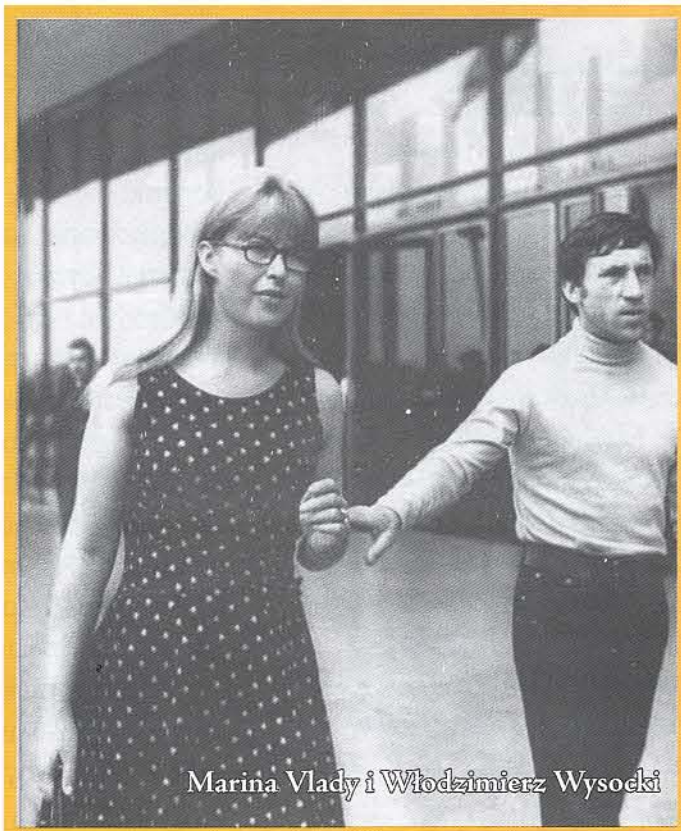
Owo poznawanie Rosji wiązało się również - chociaż po części w teorii - z poznawaniem funkcjonowania socjalistycznej gospodarki, będącej w stanie ustawicznego deficytu i wcieleniem się w rolę kobiety radzieckiej: „(...) zajmuję się gotowaniem, sprzątaniem, organizuję nasze nowe życie, uczę się robić zakupy, zdobywać żywność w kolejkach na mrozie, chodzę na kołchozowy targ (...)”. W tym miejscu trzeba te informacje trochę zdemitologizować i przypomnieć o niedostępnych dla większości Rosjanek sklepach „Bieriozka” (odpowiednik naszego „Pewexu”).

Wysocki znał wszystkie realia z autopsji. Był „osobą nie wyjeżdżającą”, „elementem niepewnym politycznie”, o wydaniu płyty mógł jedynie pomarzyć. Marina jeszcze w 1968 r. zdecydowała się na wstąpienie do Komunistycznej Partii Francji, została też wiceprzewodniczącą Towarzystwa Przyjaciół Francusko - Radzieckiej. Trudno dociec, czy wynikało to z czystego

pragmatyzmu, czy było efektem jej poglądów politycznych (w tym okresie wielu znanych artystów dość ostentacyjnie podkreślało swoje kontakty z lewicą).

Na pewno ułatwiało to załatwianie wszelkich formalności związanych z pobytem w ZSRR,

a nawet umożliwiało kontakty z najwyższymi władzami, w tym z samym Leonidem Breżniewem,



Marina Vlady i Włodzimierz Wysocki

i otworzyło Wołodi - już po zawarciu małżeństwa - drogę na Zachód. Oto on, Włodzimierz Siemionowicz Wysocki, obywatel radziecki, mógł po raz pierwszy w swoim życiu zawrzeć bliższą znajomość z „gniącym kapitalizmem”.

Czy były to dla niego wyprawy z moskiewskiego „szałasu” do zachodniego „raju”? Wydaje się, że przede wszystkim były to wyprawy do zupełnie obcego świata, który nie zawsze dał się poznać,

a który Marina potrafiła przed nim otworzyć.

Nie ma mnie...

Nie ma mnie, wyjechałem na Zachód!

Każdy plotkę usłyszał - już wie,

Że odświętną włożywszy rubachę

Gryzę pestki na Champs Elysees.

Błyskawicznie rozeszły się wieści -

uciekl, prysnął, dał nogę i zwiął!

Swoje wredne i obce nam pieśni

będzie śpiewać na Placu Pigalle (...)

(...) Ponoć błagam o zgodę na powrót

i z tęsknoty zalewam się w sztok -

nie, nie wrócę, bo ważny mam powód:

nie ruszałem się z Rosji na krok (...)

(...) Oj, uśmiełem się, ludzie, uśmiełem!

Lecz wyjaśniam i kres plotkom kładę:

nie ma obaw - nie wyjechałem,

i nie łudźcie się - nie wyjadę.

Tłum. Michał B. Jagiełło

Tadeusz Klimowicz, znawca literatury rosyjskiej, tak scharakteryzował postawę artysty: „Wysocki rozumiał, że jego miejsce jest w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, kraju, w którym ma swoich widzów i słuchaczy (...) Nie sądzę, żeby kiedykolwiek myślał o emigracji czy o nielegalnym pozostaniu za granicą (zwłaszcza status „niewozwraszczenia” nigdy go nie nęcił). Wiedział, że może oddychać (żyć, tworzyć) jedynie „tu”, „tam” powietrze ma inny, zabójczy dla niego skład”. Nie dlatego, że - jak chce cytowany autor - „tu” miał swój wierny fanclub (jego pieśni - nagrane na magnetofonowe taśmy docierały niemal wszędzie) i hipnotyzował cały naród, a „tam” śpiewałby jeśli nie

dla garstki, to przynajmniej dla niewielu. I nie dlatego też, że nie chciał poznać kultur, z którymi dane mu było się zetknąć. On po prostu nie umiał żyć na obczyźnie, nie potrafił się tam odnaleźć. Pewnie, gdyby został emigrantem, jego twórczość - jeśli w ogóle by pisał - miałaby zupełnie inny charakter. Przecież nawet dobrze znane Pola Elizejskie pozostały dla niego „czużyje”... Z drugiej strony - coraz trudniej było mu żyć w kraju, gdzie wprowadzie nie wsadzano go do więzienia i nie wysyłano gdzieś do obozu, ale szykanowano na wiele różnych sposobów.

XXX

Na setki pytań wam odpowiedź dam -

Będziecie wdzięczni i zadowoleni!

To prawda, że Francuzkę - żonę mam,

Aczkolwiek rosyjskiego pochodzenia.

Czy mam kochanki? Nie, obecnie nie.

Czy będę je miał? Nie planuję tego, -

Prawie od roku nie upijam się.

Czy zacznę znów? Na razie jeszcze nie wiem (...)

Tłum. Marlena Zimna

„Małżeństwo zawarliśmy oficjalnie 1 grudnia 1970 roku - opowiadała w jednym z wywiadów Marina Vlady. Świadcami byli - z mojej strony Max Leon, ze strony Wołodi - jego przyjaciel, aktor Wsiewołod Abdułow. Początkowo mieszkaliśmy w hotelach, w których zatrzymywałam się w Moskwie, w domu matki Wołodi, przy ulicy Telewizji na Nowych Czeremuszkach. Gdy jeden ze znajomych dziennikarzy wyjechał na dłużej za granicę, zostawił

nam swoje mieszkanie w Matwiejewskim zaułku, dokąd przenieśliśmy się. W 1975 wybudowano ten spółdzielczy budynek przy Małej Gruzinińskiej. Dostaliśmy tam mieszkanie. Ono stało się naszym domem”.

Nowożeńcy mieli po 32 lata, za sobą (w sumie) cztery małżeństwa i pięcioro dzieci z poprzednich związków. Według urzędniczek moskiewskiego Pałacu Ślubów było to na tyle niestosowne, że wyraziła zgodę na to, by uroczystość odbyła się nie w wielkiej sali, z muzyką i fotografem, ale w jej gabinecie. Złożenie stosownych podpisów zajęło zaledwie kilkanaście minut. Towarzyszyli im tylko świadkowie. Następnego dnia nowożeńcy odlecieli do Tbilisi, tam odbyła się uroczystość, która przypominała, jak wspominał jeden z jej uczestników, przedstawienie poetycko-muzyczne. I jeszcze - 13 stycznia, w Moskwie, spotkanie w wąskim kręgu bliskich znajomych.

W wieku 37 lat zostali szczęśliwymi lokatorami trzypokojowego mieszkania numer 30, na ósmym piętrze domu numer 28 przy Małej Gruzinińskiej. Warto przy tym dodać, że o wyborze lokalu decydowało losowanie, jednak zasady demokracji musiały być uszanowane.

Według słów Daniela Olbrychskiego - „Mieszkanie Wołodi składało się z niewielkiego, nowocześnie umeblowanego livingu, przytulnej sypialni z szerokim łóżem i małego gabinetu umeblowanego antykami. Niewielka kuchnia, podobna do tych z pol-

skich bloków. Wszędzie czuło się rękę Mariny”.

Kiedy ta przylatywała z Paryża rozpoczynało się zwykle, normalne domowe życie. Kiedy jej nie było, ważną rolę w życiu obojga odgrywały telefonistki z centrali międzynarodowej. To one były często świadkami (a właściwie trzeba by rzec: słuchaczkami) nie tylko intymnych wyznań, rozmów, kłótni, ale i dane im było słuchać pieśni, które Włodzimierz śpiewał swojej „Marinoczkę”.

Pisał jej też:

Marinka, ukochana ma Marinka!

Bez ciebie każda czasu odrobinka

Traci swój czar. To jakby w strasznym śnie

Półowy serca ktoś pozbawił mnie!

Marinka, ukochana ma Marinka!

Tak delikatna, jak na wietrze trzcinka!

Kto mi rozjaśni zachmurzony świt?

Tylko ty jedna. Ty - i więcej nikt!

Marinka, ukochana ma Marinka!

Daleka niczym w baśni Maeterlincka,

Jesteś jak słońce i jak rajski ptak, -

Droga do ciebie - to do raju szlak! (...)

Tłum. Marlena Zimna

W wywiadzie udzielonym polskiej dziennikarce, Elwirze Watale, na pytanie: „Czy wreszcie mogę zdementować ploteczki o nie-szczęśliwej miłości do francuskiej gwiazdy? Wysocki odpowiedział: Może pani. Nawet głośno. Miłość jest jak najbardziej szczęśliwa. Kochamy się i nie przeszkadza nam żadna odległość”.

W 1972 r. (a potem jeszcze kilkakrotnie) pojawił się pomysł przeprowadzki Mariny do Moskwy już na stałe. Sprzyjał temu bardzo

dobry kontakt Włodzimierza z synami żony: „On nie był ich naturalnym ojcem, ale oni, być może, kochali go nawet bardziej niż ojca, kochali go - jak przyjaciela, „swojego chłopaka”, jak brata” (V. Perevozchikov). Sam Wysocki odnosił się do tych planów z pewnym dystansem - „może dlatego, że nigdy tak nie żyłem - przyznał w swoich zapiskach”.

Później do tego już nie wracało, czego dowodem jest wystosowane do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych pismo z prośbą o umożliwienie mu wielokrotnego w ciągu roku wyjazdu do Francji. Zgodę taką, w drodze wyjątku - jak stwierdzono w odpowiedzi - uzyskał. Pomógł w tym prawdopodobnie cały splot różnych okoliczności, a być może i dobór argumentów: przypomnienie, iż małżonka jest przewodniczącą Towarzystwa Przyjaźni Francusko - Radzieckiej i przynosi na tym stanowisku „korzyść obu krajom”, czy solenne zapewnienie, iż sam petent nie zamierza pozostać za granicą na stałe. Ot, taka ciekawostka i mała instrukcja, jak należało wówczas pisać urzędowe pisma, by otrzymać satysfakcjonującą odpowiedź.

Ostatnie lata życia Wysockiego, to zmaganie się z uzależnieniem i chorobą, jak również walka Mariny o to, by wyrwać go z tego zamkniętego kręgu alkoholu i narkotyków, prowadzących do samounicestwienia. Była jego „pogotowiem ratunkowym” i nawet ludzie jej nieprzychylni zgodnie potwierdzali - to ona przedłużyła mu życie. I to dzięki niej Włodzi-

mierz napisał wiele lirycznych pieśni i wierszy. Niczego nie przeżywając, niczego nie doświadczając, trudno jest napisać:

(Marinie)

Nade mną lód
i w dole, pod stopami...
Czy wzbić się mam
czy zejść mam do otchłani?
Rzecz jasna - wzbić się!
W nadziei
trwać i trwać
i tylko w świat podania
za wizami ślać!

Już słysząc
lodów szcęk,
noc mija - jedna, druga...
Ja przetrwam
czysty, prosty
choć przecie nie od pługa!

A ty się nie martw! -
- wróć!
Okrętów dawnych szlakiem
Spamiętam wszystko
Wiersz widzę jak na dłoni...

Niestary jestem,
ot, czterdziestka z hakiem
przez Ciebie żyję
i dobry Bóg mnie chroni!

Ja mam co grać
gdy wezwie Pan
i przyjdzie Tam
do grania
I mam też z Nim
tych kilka słów

Do obgadania...

Tłum. Agnieszka Osiecka

To jest ostatni wiersz Włodzimierza Wysockiego. Powstał zaledwie na kilka tygodni przed jego śmiercią - zmarł 25 lipca 1980 r., w swoim mieszkaniu. Pochowano go na Cmentarzu Wagańkowskim. Marina Vlady rzadko odwiedza Moskwę. Ich romans obrósł w legendę, do dziś krąży o nim mnóstwo plotek i mniej lub bardziej wiarygodnych opowieści.

Alina Czapiuk
alacz88@poczta.fm

Bibliografia:

- Dohnalik B., Minstrele siedemdziesiątego równoleżnika, „Poezja” 8/1982.
Klimowicz T., Pożar serca, Wrocław 2005.
Olbrychski D., Wspominki o Włodzimierzu Wysockim, Warszawa 1990.
Perevozchikov V., „Nu zdravstvuj, eto ja!”, Moskva 2006.
Sushko J, Vladimir i Marina, Moskva 2006.
Vlady M, Wysocki, czyli przerwany lot, Warszawa 1990.
Watała E., Wołodia, Wołodia..., Panorama. Śląski Tygodnik Ilustrowany 36/1973
Wysocki. Życie i twórczość (wybór Z. Podgórzec), Warszawa 1989.

Niechaj się człowiek nie wstydzi nazwać tego,
czego Pan Bóg nie wstydził się stworzyć.

Klemens z Aleksandrii

O publikowanie w Stanach Zjednoczonych w 1948 i 1953 r. wyników raportów Alfreda Kinsey'a, wykazujących dysharmonię między zasadami moralnymi a rzeczywistymi zachowaniami seksualnymi człowieka, porównywane było do wybuchu bomby atomowej. Zajęła się nimi nawet specjalna, pierwsza w historii Kongresu USA, komisja śledcza. Choć wyniki badań, przeprowadzone na ponad 10 tysiącach osób były wielokrotnie negowane ze względu na niereprezentatywność badanych, to osiągnięte rezultaty miały olbrzymi wpływ na ocenę zachowań seksualnych współczesnego społeczeństwa amerykańskiego.

W odniesieniu do terenów polskich pierwsze badania dotyczące intymnej aktywności ich mieszkańców przeprowadzono na przełomie XIX i XX w. Zdzisław Kowalski w roku 1898 oraz Iza Moszczyńska pięć lat później wskazali między innymi, że duża część młodych mężczyzn rozpoczynała swoje życie seksualne od kontaktu z prostytutkami. Raportem na miarę Kinsey'a, możemy się pochwalić jednak dopiero od niedawna. Przegląd naszego życia seksualnego - od inicjacji i zachowań seksualnych po wiedzę o AIDS - został przeprowadzony w 1997 r. przez prof. Zbigniewa Izdebskiego w ramach projektu badawczego Światowej Organizacji Zdrowia.

Życie seksualne studentów Instytutu Historii Uniwersytetu w Białymstoku

MARTYNA BIELSKA

Seksualność studentów historii

W czerwcu 2006 r. autorka przeprowadziła ankietę, której celem było poznanie życia seksualnego studentów historii Uniwersytetu w Białymstoku. W badaniu uczestniczyło 90 osób: 43 studentki w wieku 20 - 25 lat i 47 studentów w wieku 21 - 26 lat. Ich udział był anonimowy i dobrowolny, i choć respondenci zostali uprzedzeni co do treści i celu ankiety, to zdarzyły się reakcje oburzenia i niechęci do ankieterki. W oparciu o wyniki ankiety nadal trudno powiedzieć, czy pytania o zachowania seksualne Polaków wciąż stanowią tabu obyczajowe i religijne, czy rządzą nami stereotypowe przeświadczenia, lub może właśnie przeważa prześiąknięta seksem kultura masowa?

Zdecydowana większość respondentów to osoby stanu wolnego - 93% kobiet i 89% mężczyzn. Ankieta nie ujawniła studentów o orientacji homoseksualnej, natomiast dwoje, kobieta i mężczyzna, potwierdziło zachowania biseksualne.

Rozpiętość czasowa momentu zetknięcia się z edukacją seksualną waha się od 2 do 19 roku

życia. Jednak przeważająca liczba studentów miała z nią styczność w wieku 12 - 16 lat. Zdarzały się także odpowiedzi mężczyzn, sugerujące brak jakiegokolwiek kontaktu z edukacją seksualną. Aż 51% badanych kobiet i 43% badanych mężczyzn uważa swoją wiedzę na temat seksu za wystarczającą i odpowiednio 26 % i 34% za bardzo dobrą. 19% studentek przyznaje się do braku dostatecznej wiedzy w sferze erotycznej, a 21% studentów stale ją uzupełnia. Ponadto 37% studentek i 41% studentów wskazało edukację seksualną jako sferę, w którą powinien zainwestować rząd polski, podobnie zresztą jak, i w darmową antykoncepcję (odpowiednio 39% mężczyzn i 22 % kobiet). W dalszej kolejności jako sfery aktywności państwa w tej dziedzinie wymieniane były badania nad szczepionkami i lekarstwami przeciw HIV i AIDS.

Z ankiety wynika, że seks dla studenta historii to przede wszystkim wyraz miłości i oddania wobec partnera, co deklaruje 67% pań i 47% panów. Przyjemność, którą czerpią z doznań cielesnych to przyczyna współżycia

dla odpowiednio 12% i 19% ankietowanych. Akceptują także to, że kochający się ludzie utrzymują ze sobą kontakty seksualne i ślub nie jest do tego potrzebny - odpowiednio 79% pań i 96% panów.

W tak pięknych okolicznościach przyrody...

Gdzie najczęściej kierują swój wzrok studenci historii? Która część ciała przyciąga ich pierwsze spojrzenia?

Piersi to najsilniejsze nośniki seksualnego kodu. Zostały uznane przez panów studentów za najbardziej pociągającą część kobiecego ciała - 38% badanych historyków uwielbia piersi. Mniejsze zainteresowanie wywołują pośladki, oczy, usta czy nogi. Wśród pań zdania były silnie podzielone, jednak w boju z pośladkami wygrały usta mężczyzny - 16%. Poza nimi wskazywały klatkę piersiową, dłonie i oczy.

A że historyk nie jest pozbawiony romantyzmu to zanim zdecyduje się na wariackie cielesne uniesienia, zabiera partnera na randkę na ... plażę. Przyznam, że najbliższa plaża nie wydaje się być szalenie seksownym miejscem, ale wyobraźnia studenta nie zna granic i tak połowa ankietowanych studentek i co czwarty student randkowałiby gdzieś w chruśniaku na Dojlidach. Mężczyźni - niczym jaskiniowcy odkrywcy i zdobywcy - przeważnie preferują nowe i nieznane miejsca, co akceptuje co czwarta ankietowana kobieta. Zainteresowanie badanych historyków, choć mniejsze, wzbudziły inne miejsca na łonie natury i tak

las zdobył 15% głosów. Za to także miejsca jak: kino, teatr czy opera, miały znikome poparcie.

Zdecydowana większość historyczek - 77% i historyków - 87% miała za sobą stosunek seksualny. Mediana wieku inicjacji seksualnej studentów wynosiła 18 lat (wiek minimalny 14 lat, maksymalny 22 lata).

Studentki historii to dość kochliwe partnerki, bo aż 79% z nich zdecydowało się na rozpoczęcie życia płciowego z miłości, która do łóżka popchnęła zaledwie 34% panów historyków. Mężczyznami kierowało zaspokojenie potrzeb, ciekawość, zabawa, a nawet alkohol. I nic dziwnego, bo aż 49% mężczyzn w ogóle nie zaplanowało swojego „pierwszego razu” (a tylko 12% kobiet). Większość studentów przyznała, że ich inicjacja seksualna nie była zaplanowana, ale byli na nią przygotowani - 61% kobiet i 32% mężczyzn. Świadomie i ze staraniem przygotowanym planem życie seksualne rozpoczęło 27% historyczek i 17% historyków biorących udział w ankiecie.

Do tego porządne łóżko jest potrzebne

Tuż po szalonych uniesieniach randkowych na plaży historyk umówia się na miłe chwile do tykowo - penetracyjne. Gdzie? We własnym łóżku! Mało wyrażone, a jednak 28% kobiet i 21% mężczyzn wybrała swoje sypialnie, z którymi konkurowały sypialnie rodziców - 13% i 26%. Wśród pań dużą popularnością cieszy się seks w samochodzie,

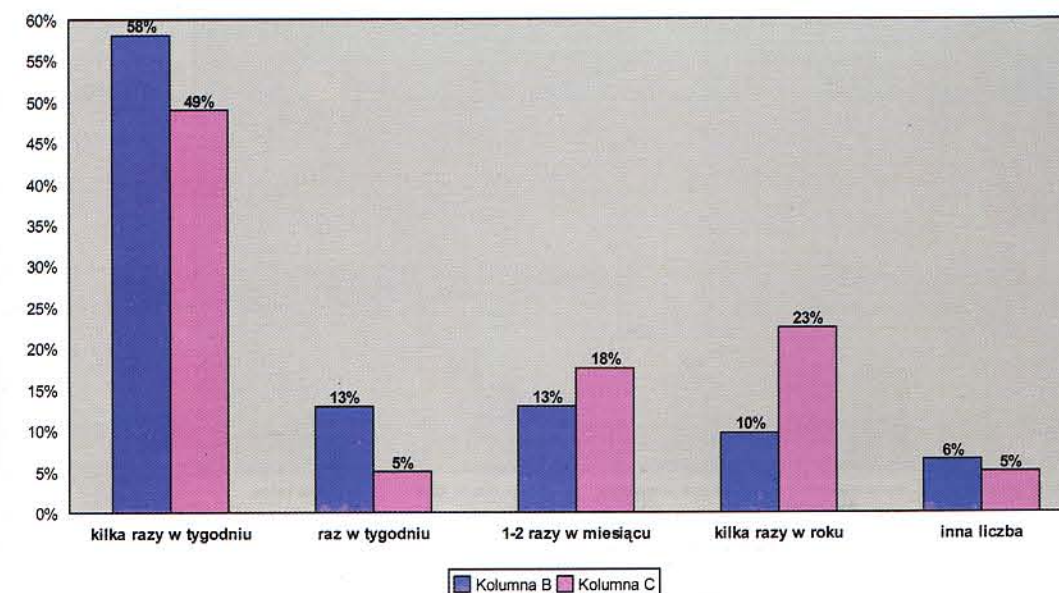
co nierzadko może skończyć się stłuczeniami, które nabierają sentymentalnego znaczenia i pozwalają rozpamiętywać przez kolejne dni frywolne chwile seksualnego baraszkowania. Za to obie płcie zgodnie przyznają, że piasek pobudza rozpalone ciało i chociażby dlatego dają upust rządzącym nimi hormonom właśnie na plaży. Panowie preferują też igraszki cielesne w parku. A to już wyższa szkoła jazdy, bo wiadomo warunki ławkowo - krzaczaste mogą zniwelować efekt finalny, nie wspominając już o przypadkowej publice.

Weryfikując obiegowe opinie, zapytałam kilku kolegów, czy rzeczywiście mężczyźni myśli o seksie nawet kilkanaście razy na godzinę. Większość ankietowanych potwierdziła prawdziwość tej informacji. Zapytane o swoje fantazje erotyczne kobiety to raczej realistki - co czwarta nie miewa fantazji seksualnych. Ale co szóstej marzy się seks z partnerem przyjaciółki, a co jedenastej ze swoim wykładowcą. Co trzeci historyk fantazjuje o seksie ze sławną osobą, a co ósmy ze swoją szefową.

Progów sex-shopów nigdy nie przekroczyło 58% ankietowanych studentek i 36% studentów. Ale byli ciekawscy, którzy - musimy wierzyć na słowo - zajrzeli tam tylko jeden raz: 32% pań i 32% panów. Maksymalnie pięć wizyt zaliczyło odpowiednio 10% i 30% respondowanych. Jeden z ankietowanych okazał się stałym bywalcem sex - shopów i odwiedzał je powyżej 15 razy.

By urozmaicić sobie zabawy łóżkowe studenci historii sięga-

jak często utrzymujesz stosunki seksualne?



ją głównie po filmy i czasopisma pornograficzne - 27%. By wzmocnić odczucia używają olejków i balsamów do masażu - 22%.

Duży talent w temacie

Ostatnie, opublikowane w 2005 r., badania firmy Durex donoszą, że statystyczny Polak wariuje zmysłowo 115 razy w roku, czyli średnio co trzeci dzień. W globalnym ujęciu zajmujemy 9 pozycję i wyprzedzamy średnią światową

(103 stosunki w roku). Prym wiodą Grecy (134). Wyprzedzili nas między innymi Chorwaci, Czesi, Francuzi czy Brytyjczycy, ale daleko w tyle pozostawiliśmy namiętnych Włochów, czy ognistych Hiszpanów. Najmniej kochliwi są Japończycy, bo lądują w łóżku zaledwie 45 razy w roku. Jednak raporty wykonywane na zlecenie Durexu przeprowadzane są przede wszystkim przez internet i chociażby dlatego należy je trak-

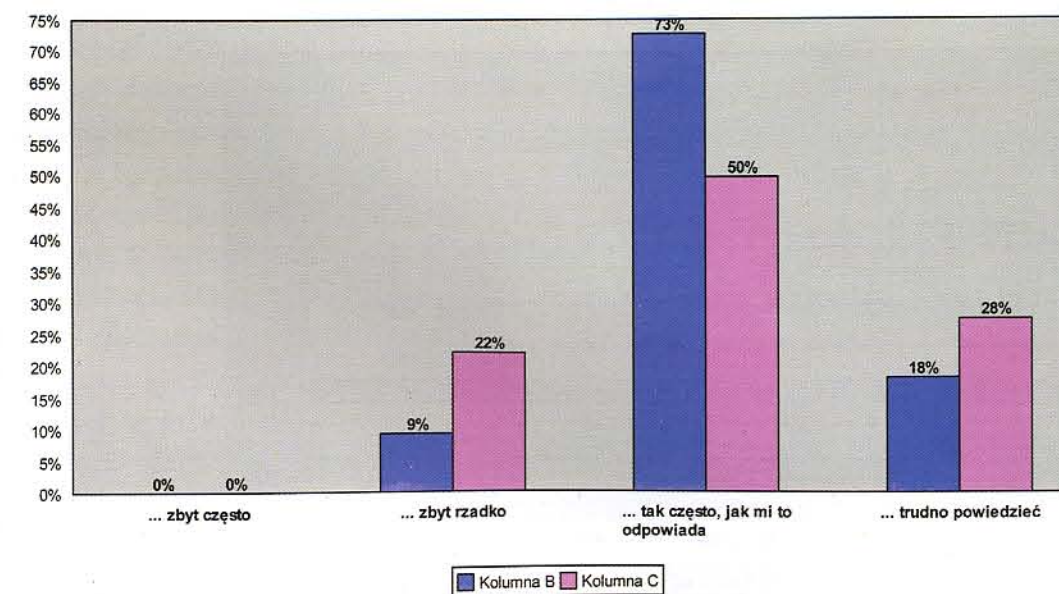
tować jako anegdotę, a nie jako wiarygodne źródło informacji. Wyobraźnia ankietowanych jest największym wrogiem raportów dotyczących seksualności. Zadając pytanie należy pamiętać, że odpowiedzi są potrójnie filtrowane przez: awersję, obronę i zapomnienie.

Mimo, że studio-

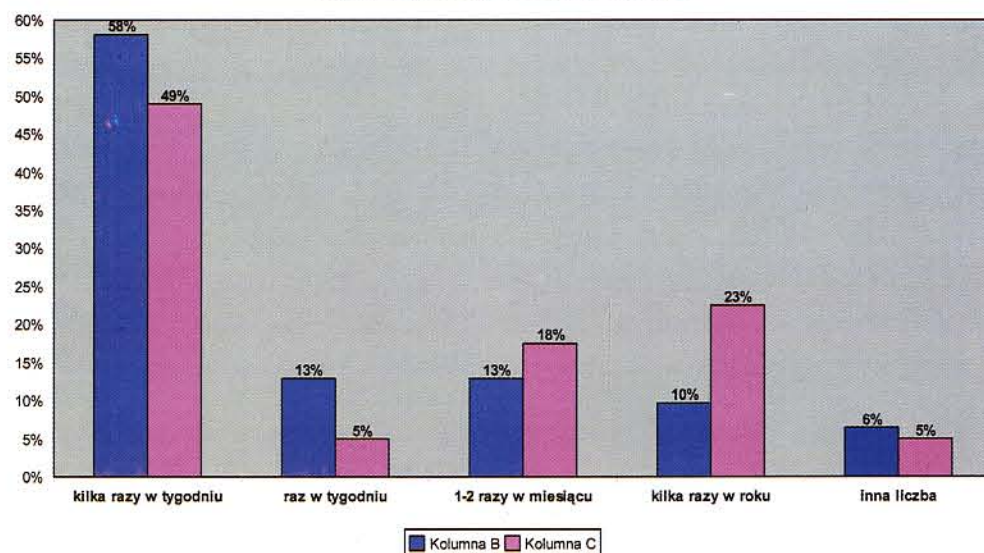
wanie historii to wielce zajmująca praca, związana z ciągłym prześiadymaniem w czytelnich i intensywnym penetrowaniem źródeł, to zdecydowana większość studentów kilka razy w tygodniu znajduje czas na zmysłową, łózkową namiętność - 55% pań i 46% panów (diagram 1), przy czym częstotliwość kontaktu fizycznego z reguły odpowiada badanym (diagram 2).

Ankieta wykazała, że 45% studentek i 61% studentów miało od 2 do 5 partnerów seksualnych. I tu historyczki okazały się wiernymi kochankami, bo 45% ankietowanych miało jednego partnera w porównaniu z 17% studentów. Od 6 do 10 partnerów seksualnych miało 6% pań i 12% panów i zdarzył się jeden ankietowany, który miał liczbę partnerek na miarę

jak oceniasz, czy masz stosunki seksualne...



jak często utrzymujesz stosunki seksualne?



osiemnastowiecznego kochanka - ponad 30. Ogólnie jednak ankietę dowodzi, że hippisowski swing lat 60. i 70. to zjawisko obce studentom historii UwB.

W ankiecie zapytałam historyków, co sądzą o partnerze na jedną noc. Dla 24% respondentek i 34% respondentów mogłaby to być ciekawa przygoda. Przelotnego seksu nie uznaje 34% pań i 13% panów. Pozostałe odpowiedzi to: ...raz mi się zdarzyło - 10% kobiet i 20% mężczyzn

... obawiam się infekcji i zarażeniem wirusem HIV - 24% kobiet i 11% mężczyzn

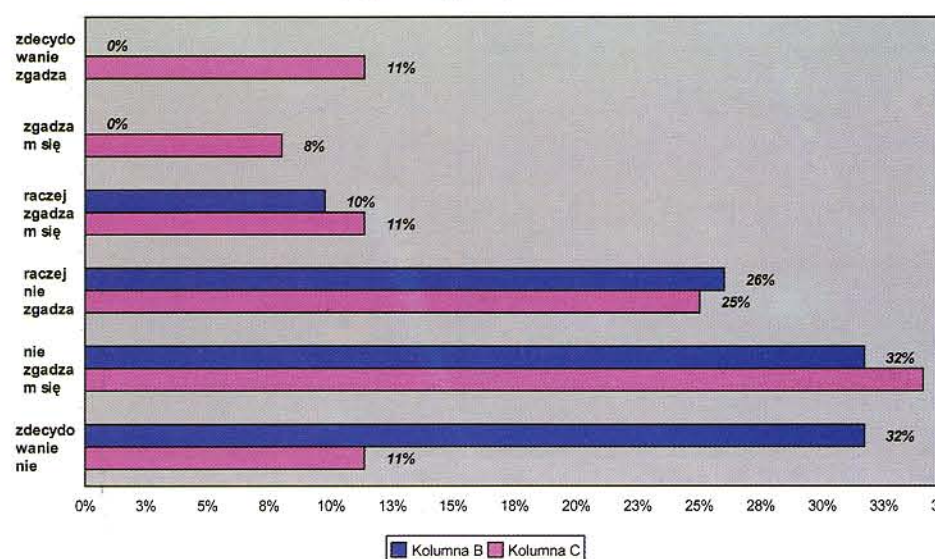
... przydarza mi się to od czasu do czasu - 5% kobiet i 13% mężczyzn
... obawiam się niechcianej ciąży - 3% kobiet i 9% mężczyzn

Prawa przyrody w służbie człowieka

Historycy, znający doświadczenia minionych epok, solidnie planują swoją przyszłość i przy najmniej w dziedzinie intymnej

aktywności zabezpieczają się niemal po uszy. Zdecydowana większość używa prezerwatyw - 61% kobiet i 71% mężczyzn. Na drugim miejscu plasują się środki hormonalne i nimi zabezpiecza się 27% historyczek i 20% historyków. 6% ogółu „stosuje” stosunek przerywany, a 4% metody naturalne. Niemal co druga historyczka stosuje co najmniej dwa środki antykoncepcyjne - przeważnie są to pigułki i prezerwatywa - dla pewności. Mężczyźni nie są tak

lepiej jest mieć kontakty seksualne z osobą przypadkową niż się masturbować



przezorni, bo zaledwie co ósmy stosuje podwójne zabezpieczenie i przeważnie sami finansują zakup - 63%. Panie dzielą się kosztami z partnerami (55%), a co trzecia finansuje je sama.

No to tradycyjnie: Panowie na górze, a panie na dole!

Najpopularniejsze pozycje seksualne wśród studentek historii to zdecydowanie te „z mężczyzną na górze” i kolejno pozycje „na jeżdźca”, „misjonarska”, „pozycje od tyłu”, „siedzące” czy „pozycje na boku”. Męska grupa badanych była bardziej zdecydowana i wskazywała w większości pozycje „od tyłu”, „na jeżdźca” i inne „pozycje z kobietą na górze”. Na mniej czy bardziej wyrafinowane sposoby zbliżeń historycy pozwalają sobie ze stałymi partnerami - 88% kobiet i 63% mężczyzn. Co piąty mężczyzna na historii to amator kobiecej urody, który chętnie pozwala sobie na igraszki z osobami, które mu się podobają.

Za osoby doświadczone w sferze seksualnej uważa się 15% respondentów.

45% pań i 49% panów to osoby „raczej” doświadczone. Co piątemu ankietowanemu studentowi historii trudno określić swoje doświadczenie „pierzynowe”.

Mimo, że tematy seksu i seksualności coraz rzadziej są kamuflowane eufemizmami, a mówienie o seksie staje się coraz powszechniejsze, co przyczynia się do implantacji seksualnej rozmaitości, to u większości rodzin respondentów tematy dotyczące cielesnych zbliżeń stanowią swoiste

tabu - u 51% historyczek i 37% historyków nigdy nie rozmawiano o seksie w domu. Zawsze i otwarcie może porozmawiać z rodzicami 40% studentek i 52% studentów, a za wstydlive dla rodziców dysputy na temat „tych rzeczy” wskazuje odpowiednio 9% i 11% ankietowanych.

Obok współżycia z partnerem, drugą naturalną formą rozładowania napięcia seksualnego dla 49% historyczek i 76% historyków jest masturbacja. Odpowiednio 42% i 24% nie ma zdania na ten temat wyraźnego zdania, a 9% kobiet uważa, że masturbacja jest zboczeniem lub chorobą. Przy pytaniu, gdzie ankietowani mieli wyrazić swoją opinię zakreślając 1 z 6 odpowiedzi, podejście do masturbacji uległo zróżnicowaniu (diagramy 3-4)

Żwirek kręci z Muchomorkiem

Większość badanych, bo aż 37% historyczek i 31% historyków nie ma zdania w kwestii związków jednopłciowych. Dla 21% studentek i 27% studentów historii kontakty homoseksualne są czymś naturalnym. Odpowiednio 23% i 35% uważa je za zboczenie. 19% kobiet i 7% mężczyzn twierdzi, że obcowanie homoseksualne jest chorobą, a 29% i 34% oświadcza, że ludzie odczuwający pociąg seksualny do osób własnej płci powinni zrobić wszystko, aby zmniejszyć swoje upodobania i leczyć się. Studenci przeciwni legalizacji związków homoseksualnych to 60% kobiet i 54% mężczyzn.

Martyna Bielska
marcysia68@op.pl

Bibliografia

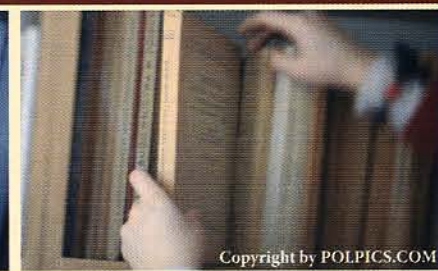
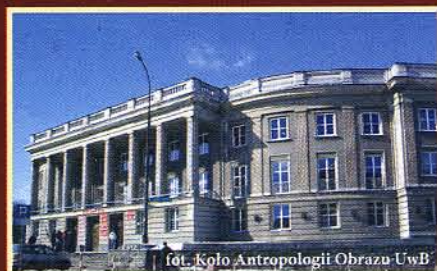
- Lewinson J., Słownik seksualizmów polskich, Warszawa 1999.
Moczuk E., Młodzież końca wieku, Zachowania seksualne współczesnej młodzieży w świetle badań, Rzeszów 2004.
Nowakowska E., Seks Polaków, Raport, „Polityka” 4 (1998), s. 3 - 8.
Seks, „Focus extra, numer specjalny” 3 (2005).
Tannahill R., Historia seksu, Warszawa 2001.
Walewski P., Seks to zdrowie, „Polityka” 51/52 (2006), s. 118 - 119.
Zdrojewicz Z., Belowska-Bień K., Boruta M., Cielecka M., Słomkowska - Müller S., Badanie seksualności studentek wrocławskich uczelni, „Seksuologia Polska” 1 (2003), s. 17 - 23.
Zdrojewicz Z., Belowska-Bień K., Nocoń J., Rekosz E., Piotrowska D., Szutkowska M., Badanie seksualności studentów uczelni wrocławskich, „Seksuologia Polska” 2-3 (2005), s. 37 - 42.

UNIwersytet w Białymstoku Instytut Historii STOSUNKI MIĘDZYNARODOWE (po licencjacie)

DWULETNE STUDIA MAGISTERSKIE
(UZUPEŁNIAJĄCE) NIESTACJONARNE

SPECJALIZACJE:

- BEZPIECZEŃSTWO NARODOWE
I ZARZĄDZANIE SYTUACJAMI KRYZYSOWYMI
- ZJEDNOCZONA EUROPA
- EUROPA ŚRODKOWO-WSCHODNIA
- SKANDYNAWIA I KRAJE NADBAŁTYCKIE



Informacje o rekrutacji:

Instytut Historii
Uniwersytetu w Białymstoku
Plac Uniwersytecki 1, 15-420 Białystok
tel./fax: 085-745-74-43, tel. 085-745-74-44
e-mail: historia@uwb.edu.pl
www.historia.uwb.edu.pl



DLACZEGO WARTO STUDIOWAĆ HISTORIĘ?

- Po prostu jest ciekawa!
- Bez historii nie ma kultury
- „...jest nauczycielką życia” (Cyceron)
- Historia to nie tylko dzieje poszczególnych epok, ale też zagadnienia m.in. wojskowości, sztuki, seksualności...
- Możesz zdobyć ogólnohumanistyczne przygotowanie zawodowe i doskonałą podstawę do dalszych studiów humanistycznych na innych kierunkach
- W zależności od specjalizacji uzyskujesz wiedzę i kompetencje do pracy w zawodzie nauczyciela, w instytucjach kulturalnych, archiwach i administracji, dziennikarstwie i polityce
- Dzięki poznaniu warsztatu historycznego nie dasz się manipulować mediom i politykom
- „Jej istnienie stanowi konieczny warunek pełnego rozwoju homo sapiens” (M. Bloch)

DLACZEGO WARTO STUDIOWAĆ HISTORIĘ W BIAŁYMSTOKU?

- Nie tracisz kontaktu z przyjaciółmi, rodziną i jej portfelem
- Poznasz ciekawy region
- Studiujesz w „przytulnym” ośrodku miejskim i kameralnych, przyjaznych warunkach
- Zapewniamy kompetentną kadrę naukową związaną nie tylko z Białymstokiem, ale też Warszawą, Toruniem i Krakowem
- Posiadamy Certyfikat Jakości Kształcenia
- Dzięki współpracy naszego instytutu z zagranicznymi ośrodkami naukowymi poznasz wyniki badań historyków europejskich
- Program Sokrates/Erasmus umożliwia odbycie części studiów na innych uniwersytetach europejskich (Werona, Berlin, Ateny, Wilno)
- Studenci dysponują nowoczesną biblioteką uniwersytecką i najlepszym księgozbiorem humanistycznym w regionie



Instytut
Historii

Wydział Historyczno-Socjologiczny
Uniwersytet w Białymstoku
Plac Uniwersytecki 1, 15-420 Białystok
tel. 085 745 74 43, 085 745 74 44
e-mail: historia@uwb.edu.pl
www.historia.uwb.edu.pl

Historyk jest detektywem...



...bywa aktorem...



...by stać się w pełni
Człowiekiem.



LOKALIZACJA WYDZIAŁU

